Numer 5. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 3 Lutego 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Czy to prawda?

— Czy to prawda, że człowiek przychodzi do rozumu dopiero z 30 rokiem życia?

— Tak mówią.

— W takim razie pan jest znacznie młodszy niż wygląda.



Roztargnienie prof. Svederiusa.

Niedawno wydano książkę, zawierającą komiczne anegdoty, których bohaterem jest profesor szwedzki Svederius.

Był to człowiek tak roztargniony, że wygłaszając pewnego razu w licznem towarzystwie toast, mieszał sobie wino palącem cygarem. W roztargnieniu swem wypił on to wino na zakończenie toastu.

Pewnego razu widziano tego profesora, jak w czasie przyjęcia, wydanego na jego cześć, smarował sobie masłem dłoń, na której zapomniał położyć kromkę chleba. Kiedy mu jeden z przyjaciół zwrócił na to uwagę, Svederius w roztargnieniu swem poklepał go przyjaźnie po ramieniu ręką, posmarowaną masłem.

Innym razem wytrąciła go z pięknych marzeń krowa, zagradzająca mu drogę. Profesor, spostrzegłszy nagle przed sobą krowę, powiedział: — „Przepraszam" i uchylił grzecznie kapelusza. Zarówno pastuch, jak i inni świadkowie tej sceny, śmiali się długo do rozpuku. Dopiero wówczas prof. Svederius spostrzegł swoją pomyłkę i zawstydzony oraz gniewny, ruszył szybko naprzód. Biegł tak szybko, że potrącił jakąś damę i zawołał w roztargnieniu: „I znów ta przeklęta krowa!"



Na wsi.

— Cóżcie tacy markotni Błażeju?

— A co nie mam być markotny. Czy to ja nie rolnik?

— Więc co z tego, żeście rolnik?

— Rolnik znaczy najnieszczęśliwszy z ludzi na świecie. Bo niechno jegomość tylko posłucha — kiej sucho, wszyćko się spali, kiej mokro — zgnije. Kiedy zboże tanie, niema go po co sprzedawać, kiej ceny idą wgórę, nikt nie chce kupić; zboże wgórę rośnie, słabe ziarno zboże niskie — nie będzie słomy. Więc czy sucho, czy mokro, czy wysoko czy nisko, czy drogo czy tanio, zawsze nieszczęsny rolnik po kieszeni dostanie.



Napomnienie.

— Dlaczego dostałeś dzisiaj zły stopień?

— Bo nie wiedziałem gdzie leżą Azory.

— No to proszę cię bardzo, na drugi raz pamiętaj, gdzie co położyłeś.

Numer 5. Rok XII. Kraków, dnia 3 Lutego 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Matka Boska Gromniczna.



W dniu 2-go lutego obchodzi Kościół św. uroczystość Oczyszczenia Najśw. Marji Panny czyli popularnie mówiąc, święto Matki Boskiej Gromnicznej. Uroczystość bardzo wzniosła. W tym dniu przed 19 wiekami, Matka Boża, w 40 dni po narodzeniu Jezusa Chrystusa, udała się do świątyni Jerozolimskiej, aby dopełnić przepisu prawa Starego Testamentu, które nakazywało, aby każda niewiasta po urodzeniu dziecka, stawiła się przed kapłanem, a ten dokonywał ceremonji oczyszczenia. O ile zaś urodzone dziecko było pierworodne, a do tego płci męskiej, prawo nakazywało ofiarować dziecko na służbę Bogu w świątyni. Takie były przepisy prawa Mojżeszowego.

Po dokonanej ceremonji arcykapłan wręczał matce dziecka płonącą świecę na znak oczyszczenia.

Matka Najświętsza jako matka Boga-Człowieka nie podlegała temu obowiązkowi, lecz głęboka wiara, a zarazem pokora i poszanowanie prawa Mojżeszowego, wiodą Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus na ręku w towarzystwie Opiekuna Bożej Dzieciny św. Józefa, w podwoje świątyni Jerozolimskiej, by dopełnić obowiązku prawa Bożego.

Ofiaruje więc Marja Panna, Boga-Syna, Bogu-Ojcu, jako ofiarę za grzechy ludzkości. Istniał bowiem zwyczaj, że przy tej ceremonji składano ofiarę według stanu posiadania. Bogacze składali w ofierze barana, ubożsi zaś ofiarowali mniejsze ofiary.

I od tego obowiązku nie uchyla się Matka Jezusowa, ale ofiaruje parkę synogarlic, gdyż była uboga. Po dokonanym obrzędzie wraca św. Rodzina do swego domu.

Kościół katolicki na pamiątkę tej wzniosłej uroczystości, w dniu tym święci świece woskowe zwane „gromnicami". Owe gromnice są symbolem łaski Bożej, która nasze dusze oczyszcza z brudów grzechowych, jak ogień oczyszcza z brudu szlachetne metale. Widzimy w dniu tym, jak pobożny lud niesie do świątyni gromnice wspaniale przystrojone we wstążki oraz bukiety mirtowe celem poświęcenia. Jakiż przepiękny widok, gdy po poświęceniu zapłoną gromnice w rękach ludu wieśniaczego. Jakaś otucha rośnie w sercach wiernych, że wraz z tym płomieniem, modły ludu unoszą się przed tron Boży.

Po pięknych i rzewnych modlitwach odmawianych podczas aktu poświęcenia gromnic, odprawia się uroczysta msza św., z prośbą o łaski dla wiernych.

Gromnica bowiem, cieszy się wielką czcią ludu pobożnego. Któż bowiem nie słyszał o gromnicy? Niema takiego wśród wierzących katolików. Gromnica poświęcona, ten znak a zarazem symbol Matki Chrystusowej, ma wielką moc. Niema domu, gdzieby ona nie płonęła i nie krzepiła nadzieją serc strapionych. Wszak gromnicę zapalamy w różnych dolegliwościach i utrapieniach naszego życia. Gdy nad światem rozszaleje straszna burza, wtenczas wśród huku piorunów zapalamy gromnicę i kornie na klęczkach prosimy naszej Orędowniczki o pomoc. Płonącą gromnicą wypalamy na futrynach okien i drzwi znak krzyża św., który chronić ma nasze domostwa przed nieszczęściami i pożarami. Wkońcu zapala się gromnicę choremu, który już żegna się z tym padołem płaczu i nędzy. Wówczas to święta gromnica i jej gorejący płomień w ręku konającego jest tym puklerzem przeciw atakom złego ducha. Ten ogień świeci na drogę wieczności. Pokrzepia ta gromnica na tą pozagrobową podróż. Płomień gromnicy oświeca duszy chorego drogę do niebios, na wzór owej gwiazdy, co swem światłem prowadziła Trzech Królów do stajenki Betlejemskiej, w której spoczywało Dziecię Jezus. Wieleż to cudów dokonało się, w których wiara w moc po-

święconej gromnicy główną grała rolę? Wieleż to powstało przepięknych legend osnutych na tle gromnicy? Stąd też wywodzi się nazwa a raczej przydomek dawany Matce Boskiej, która modlących się do Niej z gromnicą w ręku, prośbom czyniła zadość. Któż nie zna Matki Boskiej Gromnicznej?.

Szczególniejsze znaczenie ma gromnica dla nas Polaków.

Wszak tyle razy zapalali ją nasi praojcowie w ciężkich chwilach dla narodu, jęczącego w kajdanach niewoli wiekowej.

A i za czasów „złotej wolności" w czasie potopu, modliły się matrony przed Obrazem Bożej Rodzicielki trzymając w ręku gromnicę. Modlili się w czasie powstań, przy gorejących gromnicach, a z głębi serc płynął rozpaczliwy ton modlitwy o złotą wolność i niepodległość. Kiedy jutrzenka wolności zajaśniała nad polskim krajem, a równocześnie dzicz bolszewicka rzuciła się na nas, wówczas też płynęły prośby do M. B. Gromnicznej. Wysłuchała Królowa Korony Polskiej naszych próśb, na polach pod Warszawą nad królową rzek naszych dokonał się ów sławiony w dziejach naszych „cud nad Wisłą". Idźmy śladem Bożej Rodzicielki, bądźmy posłuszni prawom Bożym oraz państwowym i przestrzegajmy tychże, a płomień gromnicy niech wznieci w sercach naszych miłość i zgodę, a zniszczy nasze wady, a nasza Odrodzona Polska zabłyśnie chwałą i urokiem wieków ubiegłych, a nastąpi to wtenczas, gdy Bóg i Królowa Korony Polskiej nam pobłogosławi, a stanie się to wtenczas gdy:

„Wśród nas zapanuje Miłość i Zgoda
Wtenczas nam „Gromniczna" rękę poda!!
I Polska będzie jak głazy granitu
Sława Jej sięgnie aż do niebios szczytu!!"

Władysław Bienias.



„Gromniczne świece".

Gromniczne świece konająco płoną
I kraszą blado rozmodlone twarze
I kraszą lekko złociste ołtarze,
Gdzie Chrystus zamknął Dobroć nieskończoną.

Śpiew się rozchodzi po gotyckim tumie,
Po owych wiekiem przyprószonych nawach,
Niech słynie wielka, przepotężna sława
Dla świętej Marji w uroczystej sumie.

Przygłuchły, zcichły kościelne pacierze...
Staruszka w progu czarny krzyżyk znaczy,
Pomna gorącej, praojcowskiej wierze.
I zadumany swój wygląd prostaczy
Wlepiła w krzyż ów pokornie i szczerze,
...Może ostatni raz go dzisiaj znaczy.

Józef Frasik.

DR. JÓZEF KRUSZYŃSKI.

Ludzki sąd, a Boża prawda.

Powieść kryminalna, w wolnym przekładzie Juljusza Prusa.

— Alboż to Bóg jest na świecie? — zapytał Kopryk.

— Nie mów, głupcze bredni! Wreszcie nie narzekaj, bo sam przyznałeś się do winy, sam siebie osądziłeś skoro skradłeś bliźniemu zegarek.

— Właśnie, że nie ukradłem!

— Jakżeż? Miałbyś być niewinnym? — zapytał Sylwester.

— To nie. Ale zegarka nie ukradłem.

— Ha, Bóg z tobą! Nie umiem tego w żaden sposób rozumieć. Żeś ty łotr z pod ciemnej gwiazdy, to widać. Wogóle Sylwester dłuższy czas zastanawiał się nad znaczeniem słów Kopryka, ale nie mógł ich pojąć. Gardził łotrem, ale żal mu było niewinnego. Jak tu dojść do tej sprawiedliwej oceny tej sprawy? Był ciekaw czy Bóg w istocie widzi ludzką krzywdę? Wiara kazała mu powiedzieć: tak!

Kiedy Sylwester w ten sposób rozmyślał, otworzył strażnik drzwi celi i wprowadził tam nowego aresztanta. Był to siwiejący już i przygarbiony żydek, z czerwonymi od płaczu oczyma, z zawodu szewc wiejski, Mordko Kussinger.

Mocno przestraszony, przekroczywszy próg więzienia, rzekł, zobaczywszy Kopryka i Sylwestra:

— Chwała Bogu, żem nie sam.

— Zaco ty Boga chwalisz? — spytał Kopryk. — Albo tobie źle było w domu?

— Wielkie nieszczęście mnie spotkało, nieszczęcie, nieszczęście! — zawodził żyd. — Ja Bogu ducha winien, a zamknęli. W domu mam drobne dzieci; przedwczoraj pochowałem żonę. Boże, Boże, zmiłuj się!

— Hou! Hajder tu nie jest parchu! — krzyknął Kopryk. — Tu nie miejsce na twój płacz i wajkowanie.

— Kiedy ja jestem niewinny, całkiem niewinny! Czy Bóg może dopuścić, żebym ja się tu męczył, a moje dzieci ginęły z głodu?

— A was za co zamknęli? — zapytał Sylwestera.

— Za nic, siedzę już czwarty miesiąc, a winy żadnej nie mam.

— Boże, Boże — jęknął Mordko i zaczął szeptać gorąco modlitwy.

Kopryk owinął głowę kocem, żeby nie słuchać modlitwy żyda, a Sylwester klęknął przy swoim tapczanie i także modlił się do późna.

XI.

Na drugi dzień rano, zawołano Mordka do sędziego śledczego. O co się rozchodziło? Proszę posłuchać: W lesie znaleziono zamordowanego żyda, lichwiarza Rosena. Trup miał rozbitą czaszkę jakimś twardym narzędziem. Lichwiarz Rosen był człowiekiem bez serca i chociaż rabin mu zakazał, on za mały dług zlicytował Mordkowi chałupę i kupił ją potem za czterdzieści koron.

Z tej chałupy miał wyrzucić Mordka razem z chorą żoną. Wszystko to wyśledzili żandarmi i oto padło na Mordka podejrzenie. Przy rewizji znaleziono u niego ogołocony z pieniędzy portfel Rosena, okrwawiony młotek i skrwawioną Mordkową koszulę. Lekarze i chemicy orzekli, że plamy na młotku i koszuli pochodzą z ludzkiej krwi.

Sprawę oddano wielce przebiegłemu i mądremu sędziemu śledczemu, który umiał nadać sobie cechy filantropa, a którego koledzy nazywali „słodkim jak cukier“.

Kiedy dozorca przyprowadził ze sobą zgarbionego we dwoje i zapłakanego Mordka, wydającego z siebie jakiś grobowy jęk i nie mogącego przemówić słowa, sędzia podał mu krzesło i poprosił aby usiadł.

— Siadaj pan, panie Mordko. Proszę, siadaj pan. Widzę, jesteś biednym człowiekiem.

— Tak, biednym jestem, biednym — potwierdził żyd.

— Mnie was serdecznie żal nieszczęsny Mordku, ot, proszę odetchnąć, spocząć i uspokoić się. Ja poczekam. Proszę, uważać na siebie, namyśleć się, mówić powoli, żeby siebie nie zgubić. Powtarzam: ja mam czas. Inaczej szkodaby was było, jeśli wy niewinni.

— Nie winien, dalibóg nie winien! — płaczliwym głosem mówił oskarżony.

— No, to ja wam pomogę; ja wyratuję was z biedy. A gdzieżeście byli jak Rosena w lesie mordowali?

— Nie wiem. Dalibóg, nie wiem!

— Ej, proszę się namyśleć, bo jak powiecie: „nie wiem“, to będzie źle! Wy musicie dowieść, że was przy tem nie było. Możeście byli pod lasem, albo gdzie, hę?

— Pod lasem! — wystękał prawie nieprzytomny żyd.

— No, to musicie wiedzieć kto żyda mordował.

— Nie wiem, dalibóg, nie wiem!

— Źle Mordku! Jak tak powiecie, to nikt wam wiary nie da. Możeście sami zamordowali tak niechcący, hę?

— Nie, nie!

— A cóż znaczy, znaleziony u was portfel Rosena?

— Nie wiem, jak Boga kocham i swoje dzieci, tak nie wiem.

— Hum, hum. A krew na młotku i na koszuli, to co?

— Żona moja przed śmiercią doznała wybuchu krwi zanim skonała — mówił Mordko i rozpłakał się.

— Hm, hm! Akurat żona miała wybuch krwi, gdy Rosena mordowali?! Ha Widać, nie dowiem się od was dziś niczego. Mimo najlepszej chęci, nie będę mógł wam dopomóc. Wyprowadzić go! On udaje gorączkę ze strachu; myśli, że wszyscy tacy głupcy, jak on mądry.

XII.

Gdy Mordko wrócił, zastał celę próżną. Towarzysze: Sylwester i Kopryk, poszli na robotę. Nieszczęsny żyd, opamiętawszy się nieco w samotności, błędnym okiem powiódł po ścianach więzienia. Były na nich plamy ciemne, rozduszona fasola na suficie i czarna podłoga. Poniżej pełzało coś robaczywego. Całość była tak nieprzyjemna jak u niego w duszy. Tak jak jesienna słota, stale od kilku dni zasłaniająca słońce wszelką nadzieję. Z otchłani duszy coś wyłaziło beznadziejnie przykrego i pchało się w gardło, a gwoździem w głowę. Wrażeniem cotylko skończonej indagacji u słodkiego jak cukier sędziego, uczuł się fizycznie i duchowo tak zgnębionym, że osunął się na siennik w połowie zemdlony, a w połowie senny. Stan ten był dla niego prawdziwym zbawieniem: naprężone nerwy odpoczywały, mózg zwolna począł uspokajać się, dręczące myśli cichły. Ale po jakiej godzinie, gdy obaj lokatorzy wrócili do celi, wygląd Mordka przeraził Sylwestra. Żyd leżał na sienniku blady jak trup.

Sylwester nachylił się nad nim i krzyknął.

— Czemu krzyczysz? — spytał Kopryk. — Acha! Nu! Co ciebie obchodzi żydowskie ścierwo!? Niech gi nie parszywiec!

— Kopryk! Jesteś łajdak podły, bez sumienia! — zirytował się Sylwester. — Widzisz przecie, że to człowiek taki sam jak ty; stworzony przez Boga.

— Przez Boga stworzony? — zaśmiał się Kopryk. — Nu dobrze!

Na wykrzyknik Sylwestra zjawił się dozorca. Przy jego pomocy udało się przywieść Mordka do przytomności; okręcono go kocami i rozgrzano lodowo zimne nogi, poczem żyd swobodniej już oddechał. Potem pobiegł strażnik po więziennego lekarza, wszelako pan konsyljarz jeszcze spał, bo całą noc w miejscowym kasynie grał w karty.

Kiedy nareszcie po dwu godzinach przyszedł, opukał i oszczypał Mordka, orzekł: — Zbój udaje chorego nic mu nie brakuje! Żyd dawno się uspokoił, więc orzeczenie lekarza przyjął obojętnie.

Wieczorem, kiedy wszyscy więźnowie byli już w celi, zaczął Sylwester rozpytywać żyda o co go posądzają i jakie przeciw niemu mają dowody.

— Sędzia dobry i ludzki chciał mnie wyratować, żeby nie ten młotek, portfel i kuszula.

Słowo „portfel“, zrobiło na Kopryku tak głębokie wrażenie, że pobladł, co Sylwester zauważył, ale milczał.

— A czem ty jesteś z zawodu?

— Biedny szewc.

Kopryk znowu zmienił się na twarzy.

— A za co właściwie siedzisz? — indagował Sylwester dalej.

— Miałem podobno zamordować człowieka... nu gadaj sobie: ja ja i zamordować — wycedził żyd przez łzy.

— Tyś miał zamordować człowieka... hm. Jakiego?

— Lichwiarza Rosena.

Kopryk aż się zachłysnął i odwrócił głowę bardzo pomieszany.

— Nie martw się, Bóg ci dopomoże — uspakajał Sylwester serdecznie i pogładził żyda po czuprynie.

— Tak, jeden Bóg tylko może mnie wyratować — westchnął żyd.

Kopryk w międzyczasie zapanował nad sobą i z cynizmem starego złodzieja odezwał się:

— He? Bóg ci pomoże? A cóż Boga obchodzi jakiś parszywy żyd?

— Nie bluźnij drabie! — syknął Sylwester. — Nie chcesz rozumieć, że Bóg opiekuje się nawet najmniejszą muszką i krzywdy zrobić nie da, nie tak człowiekowi!

Kopryk zamilkł, a uśmiech cynizmu na wargach skamieniał.

— Mój Boże — jęknął Mordko. — Nawet jednej muchy w życiu nie zabiłem, choć tak dokuczają w lecie. A mnie posądzają, że zabiłem człowieka! Boże mój! Okaż swoje miłosierdzie i wykryj sprawcę.

Ostatnie słowa silnie podziałały na Kopryka. Począł pracować wyobraźnią: — A nuż, Pan Bóg zechce okazać swoją moc i wykryje sprawcę? On słyszał już nieraz o zabobonach i czarach co różne rzeczy wyświetlały; czyżby to było za Boską przyczyną? Kopryk legł na tapczan i tak jakoś myśl pchnęła go w te czasy kiedy był dzieckiem, kiedy duszę i sumienie miał czyste, kiedy w pokorze uznawał wszechmocnego Stwórcę, opiekującego się wszystkimi i wszystkiem — a te wspomnienia tak mu jakoś zakręciły

resztkami ginącej duszy, że poprostu okręcił głowę kocem i ryknął płaczem.

Sylwester i Mordko przejęci tą beznadziejną sytuacją, zaczęli z kolei modlić się żarliwie. Obaj wylewali łzy i błagali niewidzialną wszechistotę o miłosierdzie. Modły takie, płynące z serc bezradnych a pokornych przebijają często niebiosa i kładą się świetlaną strugą u stóp najwyższego miłosierdzia...

Z pod koca, okręconego na głowie Kopryka, zaczęła się wydobywać modlitwa... kto wie czy nie pierwsza od lat wielu. Zaczęła się odradzać dusza w zbrodniarzu; padło na nią światło żywe. Obraz i podobieństwo Boże uplastyczniło się, skorupa cielesna duchem przeszła, pokorą prawdziwą. To coby każdy ksiądz nazwał: objawieniem Ducha świętego, sumienie w nim się odezwało i przeszyło jak strzała.

Wreszcie noc zawładnęła swem prawem. Sylwester i żyd wypłakawszy się do syta lekko posnęli, ale Kopryk przewracał się po sienniku z boku na bok, nie mogąc zasnąć walczył z myślami, które go opadły jak mrówki. O czem myślał? O Mordku. Nie tylko myślał: bolał; topił po przez ciemność wzrok swój w ciemną, brodatą twarz żyda, oddechającego nerwowo i czasem we śnie jęczącego. Żal mu było tego żyda coraz więcej i coraz serdeczniej. Coś jeszcze zamajaczyło w fantazji Kopryka i stanęło jak żywe przed sumieniem. Oto widział przed sobą samolubne rysy lichwiarza Rosena ociekającego krwią i bezbrzeżny strach malujący się w jego łypiących oczach w chwili razów tępem narzędziem... i jego portfel... korpus delikti znachodzący się w rękach sędziego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ostatni czyn skąpca.

Apolinary, zwalony z nóg ciężką i śmiertelną chorobą, leżał teraz nieruchomy jak kłoda, z przymkniętemi powiekami i urywanie a świszcząco sapał. On, który przez całe życie zwycięsko borykał się z wszystkiemi przeciwnościami losu (najwięcej z fortuną), musiał teraz ulec słabości, własnej wewnętrznej, ale upartej słabości, która już tydzień trzymała go w szponach. Ach! co za rozpacz! co za nieszczęsne fatum!

Stary zegar, grat jakich mało, cykał monotonnie, rachując i wyznaczając ostatnie minuty życia Apolinarego. Wskazówki niby zwyczajnie, ale jakoś szybciej się posuwały, z większym niż kiedyindziej impetem i rozmachem, jak gdyby chciały zatruć ostatki życia umierającego. Czas, zamiast mu się dłużyć w takich chwilach, pędził jak huragan, ciągle naprzód i naprzód i to bez nadzieji powrotu.

Od kilku już minut ktoś kołatał we drzwi aż odgłos grobowem echem odbijał się o spruchniałe ściany i milknął za zapieckiem. Apolinary otworzył zaropiałe powieki.

— Znowu pewnie, który ze spadkobierców — mruknął do siebie i zgrzytnął ostatniemi, jakie posiadał, zębami. — A bodaj ich jasny siarczysty deszcz spalił z ich chciwością, zachłannością i natarczywością, bodaj ich moje oczy już nigdy w życiu nie widziały.

Rzeczywiście, przy drzwiach była bratowa, ale po półgodzinnem pukaniu, przypatrzywszy się przez okno, że stary żyje i nie myśli odmykać, odeszła niezadowolona. Była to już tego dnia siódma osoba z galerji przyszłych, ewentualnych „spadkobierców". Apolinary zwlókł się z łoża, wziął siekierę i ostatkiem sił podważył deskę z pokrzywionej i wytartej zębem czasu podłogi. W zagłębieniu ukazały się leżące spokojnie szeregi drewnianych, ładnie zdobionych szkatułek. Wziął jedną i drżącemi rękami otworzył. Zaświeciły mu się źrenice jakimś niesamowitym, djabelskim błyskiem, a sine, kościste palce z lubością zanurzyły się w kupie 10-cio dolarowych banknotów. Przez chwilę stał jak zahypnotyzowany, zapomniawszy o wszelkich dolegliwościach. Ale wnet jego czoło ściągło się w podkowę a z pod powiek trwoga, troska i rozpacz wyjrzały.

— ...I to mają dostać oni? — syknął zsiniałemi wargami. — Ci roztrwoniciele wszystkiego, te syny marnotrawne bez skruchy?

Trząsł się, jak w febrze i zieleniał, to siniał na twarzy.

— Nie, nie zobaczą ani jednego! — ryknął z mocą i potrząsnął w powietrzu rękami. — Pieniądze moje są, jam na nich pracował, o nich się starał, ukrywał przed złodziejami, więc i po śmierci moje pozostaną, muszą mojemi pozostać.

Miał zamiar w testamencie umieścić klauzulę, że wszystkie pieniądze muszą mu być, razem z nim włożone do grobu, ale podumawszy jeszcze moment, odstąpił od tego zamierzenia.

— Oni nie durne capy — mruczał sam do siebie — zarzuciliby przed Sądem, żem w ostatniej chwili stracił zmysły, zdziecinniał i t. d., obaliliby testament, no i zabrali dolarki a na to pozwolić nie mogę.

Oparł się o stół i dumał zafrasowany, charcząc, już prawie nie oddychając otwartemi ustami. Przed jego umysłem przesuwały się rozmaite plany i sposoby, ale żaden nie zdawał się mu dobry i zaufany na tak wielką misję — nie oddanie pieniędzy spadkobiercom. Wreszcie rozjaśniła się mu twarz i aż poderwał się uradowany.

— Czekajcie, psie syny — szeptał podniecony — wywiodę was na dziadków ogród aż wam bebechami zatarga. Prędzej się śmierci spodziewacie, niż coś podobnego, co ja wam wypłatam.

Pokusztykał skrzywiony do przypiecka, wziął zapałki i z szatańskim uśmiechem ujął za szkatułkę. Zawachał się jednak na chwilę i widać ciężką walkę musiał z sobą stoczyć, bo po jego pergaminowej, zmarszczonej twarzy stoczyły się dwie duże łzy. Niedziwota, było to dzieło jego całego żywota. Lecz się wkrótce opanował i przybrał maskę zawziętości.

— Szkoda, bo szkoda, — szepnął tkliwie — ale oni ani złamanego szeląga nie dostaną.

Następnie brał szkatułkę po szkatułce, otwierał, wyjmował banknoty, bawił się niemi przez chwilę i rzucał na ogień rozniecony ze słomy na środku izby. Robił to tak długo, aż wszystkie szkatułki były wypróżnione i tylko kupa popiołu leżała gorąca. Skończywszy, westchnął z rezygnacją i jakoś obco rozglądnął się wokoło.

— Jeszcze chałupa, a byłbym zapomniał, jak robić to robić! — i popalił słomę w łóżku.

Płomień zaraz objął wszystko i buchnął żarem pod niską powałę, skry z sykiem leciały w górę i wkrótce całą izbę zapełnił dy mi gorąco. Skąpiec śmiał się, skakał bosemi nogami po ogniu, wymachiwał rękami, podsycał jeszcze żywioł — i nie myślał uchodzić. Płomienie poczęły już lizać ściany, pułap, przedarły się na strych, objęły ramionami strzechę i strzeliły ku niebiosom fontanną iskier i czerwonym, groźnym blaskiem. Za chwilę wszczął się chałas, począł gromadzić się tłum, przybyła straż pożarna, ale niestety nic już nie zdołała uratować. Wydobyto tylko zwęglone szczątki ciała Apolinarego. *Edward Cygan.*

ŚWIĘCENIE GROMNIC.



Rok rocznie w dniu 2 lutego, a więc w święto Oczyszczenia Najświętszej Marji Panny poświęcają wierni w kościele świece woskowe zwane gromnicami. Już sama nazwa tych świec wskazuje, że świeca taka ma chronić człowieka w czasie burzy od gromów. To też gdy zaczną odzywać się grzmoty i bić w okolicy pioruny, pobożni ludzie zapalają poświęcane gromnice, wierząc, że łaska Boska, jaka na nie spłynęła podczas poświęcenia, sprawi, iż piorun w dom ten, w którym pali się gromnica, nie uderzy. Od świec tych i święto Oczyszczenia Najświętszej Marji Panny przybrało nazwę Matki Boskiej Gromnicznej, lub krótko: Gromnice.

Stare legendy opowiadają, że dawniejszymi czasy, gdy w Polsce grasowało dużo wilków, to najskuteczniejszą od nich obroną była poświęcana świeca gromniczna. Wierzą też pobożni chrześcijanie, że świeca gromniczna, zapalona w ręku konającego, odpędza od niego złe duchy i nie daje im przystępu do duszy opuszczającej ciało. Ta wiara w wielostronną pomoc gromnic sprawia, że w dniu 2 lutego każdy, biedny czy bogaty, przygotowuje świecę gromniczną i niesie ją do kościoła celem ponownego poświęcenia. W niektórych domach są gromnice, które przetrwały już kilka pokoleń, a jeszcze i dalsze przetrwają, pozostając w wielkiem poszanowaniu u wszystkich.

Na obrazku naszym widzimy niewiasty w kościółku wiejskim, z których jedna trzyma zapaloną gromnicę i razem z kapłanem modli się żarliwie o błogosławieństwo dla niej.

Zwyczaj święcenia gromnic powstał w Rzymie i rozszerzył się wkrótce po całym świecie i dziś niema prawie prawie narodu katolickiego, któryby nie odnawiał tego zwyczaju co roku. Nic to jednak poświęcić gromnice, ale pamiętać przytem trzeba, że po poświęceniu nie jest to już zwykła świeca, ale rzecz święta, którą trzeba zawsze mieć w wielkiem poszanowaniu. Nie należy więc dopuszczać, aby się walała gdzieś po kątach, lecz trzeba ją przechowywać w miejscu zamkniętem, a więc w jakiejś skrzyni lub szafie, gdzieby nie była narażona na profanację. Do zwykłego świecenia używać jej nie należy, ale tylko podczas burz i w czasie śmiertelnej choroby kogoś z domowników, a mianowicie, gdy kapłan przyjdzie z Najświętszym Sakramentem, lub gdy zobaczymy, że chory poczyna konać.



MACIEK BZDURA GADA:

W tamten poniedziałek byłem na krzcinach u Pyrdały w Miękiszowej Woli. Właściwie to krzciny były w niedzielę, ale mnie dopiero w poniedziałek gospodarz posłali, cobym odniósł Pyrdale cepy parę lat temu przez mojego gospodarza pozycone. A ze to wszyćkie urocystości pono są wazne do oktawy, więc tez i ja śmiało mogę powiedzieć, ze byłem na krzcinach.

Jak mnie gospodarz wysyłali, to sedem z prawdziwą przyjemnością, bom łońskiego roku widział Pyrdalinę na jarmarku w Mościskach, to mi się okrutecnie uzdała. Ze Pyrdalina jest śwarna kubita, to jest i o tem wszyscy dobrze wiedzą, a juz najlepiej ten młody prefesur ze skoły, który to Pyrdaliny juz nieraz o tem powiadał. I kuzden człowiek, w którem się dusa jesce jako tako selence, musi to przyznać, bo u Pyrdaliny gęba nie taka prosto od siekiery, ale z pańska na wszyćkie kolory pofarbowana, ze jak się na nich człek patrzy, to nie wie, cy to zywa istota, cy jaka święta wymalowana. I ja, jakem ją pirsy raz ujźroł, tom się najprzód trzy razy oblizał, a potem osiem razy ślinę połknął, a potem takie się mi gorąco zrobiło, zem se musał kosulę pod syją rozpiąć.

O tej swojej urodzajności Pyrdalina dobrze wie, to tez cy świątek, cy piątek, w kuździusieńki dzień co rano całą godzinę przed lusterkiem siedzi, jakiemisik farbami, co je dostała od młodego prefesura, po gębie się chędozy, a potem dwoma żelaznemi patykami icki se zakręca (merusieńce, jak Srul z pod kościoła) i tak wele połednia jest całkiem gotowa, zeby ją mozna do Poznania na powszechną wystawę krajową z wiesną posłać.

W powszedni dzień to jej to idzie dość śwarnie, ale jak przyjdzie niedziela, to ranyściewy! Tyle się tego paćkania od samego rana uzbira, ze zawse po kazaniu albo i w pół sumy do kościoła przychodzi. A jegomość w Miękiszowej Woli to okrutecnie skrupulatny cłwiek i jak przyjdzie dziesiąta godzina, to z nabożeństwem wychodzi i nie ceka na Pyrdalinę, ani na zadną inksą hrabinę.

Jagem przysed do Pyrdałów, to nie zastałem nikogo w chałpie, a ino ten mały nowoochrzcony brzdąc lezał w kolibce a na stole lezało sadło, pewnie przygotowane na omastę, na obiad do kapusty. Wiadomo mi było, bo zreśtą wszyscy o tem dobrze wiedzą, ze sadło jest dobrem lekarstwem nietylko na brzuch, ale i na buta. Tak ja tedy, nie mający co robić, ukrajałem štync sadła i nuze po butach hlastu, hlastu! Na to przysed jakisik babsztyl i tak do mnie nic nie mówiący wyciąga se z suflady rozmaite klajnikanty i pocyna swoją robotę. Nie wiedziałem, ktoby to był i nie pytałem się, bo co mi do tego. Chędozyłem se swoje buty i konec. A ów babsztyl wziął se garniątko wody i pachnące mydełko i tak gębę surował, jak jakiego wieprzka po zabiciu, potem poroscesywał se pełechy i to do tego rzadkiem, a nie gęstem grzebieniem, nie wiadomo na co i po co, a wreście wziął se żelazne widełki i wsadzał raz do pieca, a drugi raz do głowy i tak pewnie ze śtyrdzieści razy. Kto inksy toby tam nie wiedział, na co to, ale mnie nie trza było gadać: jakozby się wsy w takiej gęstej cuprynie inacej wytępiło?

A po tem wszyćkiem zacął się malunek. Nie patrzyłem, jak się to robi, bom miał swoją robotę, a po drugie nic mnie to nie obchodziło. Ale po jakisik godzinie poźrałem na to przemierzłe babsko i ocom swojem nie chciałem wierzyć. Tać to juz nie był ten sam babsztyl, rozmirzwiony i pognieciony, ale piękniusieńka, ze palce lizać, sama w swojej osobie Pyrdalina. Wywaliłem ozór na coło i nie mogąc zadnym końcem pary ze siebie wypuścić, patrzyłem się i patrzył. A Pyrdalina pada do mnie:

— Wis, Maciuś, do cego się pracą i starannością przychodzi. Jakam była, a jakam jest.

Nic nie odrzekłem, bo i nie było co, a po drugie, nim się namyśliłem, co powiedzieć, to juz Pyrdaliny w izbie nie było. Ino potem pomyślałem sobie, ze jakby człek tak wziął wiaderko wrzącej wody i kuzdą kobitę w niej opłókał, to pewnikiem połowa piękności ze świataby zniknęła.

Choć tam człek nie kuzdą cystość sam u siebie lubi, to u inksych zawse ona mu się podoba. Spodobała mi się tez ta cystość i u Pyrdaliny i pomyślałem se, ze kiedy ona tak o nią dba, to musi być u niej wszędzie cyściutko. Pomyślawsy tak, pocąłem po całej izbie penetrować, jakie tez tam u Pyrdaliny ochędustwo? I myślicie, ze wszędzie było porządnie. Grzysi tam! Garcki nie pomyte, izba ino środkiem pozamiatana, a pod ławami i łózkami śmieciarów pełno. Zaźrołem pod pierznę, a tam płachta ze śtyry roki nie prana.

— Oj — myślę sobie — jakto niftóre ludzie, to ino na to patrzą, aby się inksem podobać, a nic nie dbają o ocharustwo i ochędozność la samego porządku i cystości. Do bani z takiemi ludziami.

Jak wrócła Pyrdalina do izby, tak padam jej, zeby se teraz izbę tak wychędozyła, jak to sobie z gębą zrobiła. A ona mi na to pada:

— Patrz se lepiej, psiaparo, porządku u kobył w stajni, a nie u mnie. Tobie się zreśtą widzi, ze kuzden będzie tam zazirał, gdzie nie trza, a jak gdzie ludzie nie zazierają, to tam moze być, jak bądź. Grunt w tem, zeby tam było cysto, na co wszyscy patrzą! A teraz się wynoś!

Wyniś, to się wyniosłem, ale przecie zdania nie zmienię i zawse będę powiadał, ze u porządnej kobity to w kuzdej dziurce powinno być cysto nie ino na froncie, a więc i pod łózkiem, i pod stołem, i pod ławą, bo zawse się znajdzie ktosik taki, ze tu i tam zaglądnie.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

W królestwie Humbe II.

W numerze 3 „Roli“ podaliśmy opis wschodnio afrykańskiej krainy Humbe. Dziś powracamy jeszcze do tego samego tematu, aby dorzucić parę szczegółów.

Przedewszystkiem chcemy zaznaczyć, iż myliłby się ten, ktoby sądził, że murzyni nic nie umią. Owszem rzemiosła i przemysł są u nich bardzo rozpowszechnione. Ale każdy tutaj jest dla siebie cieślą, murarzem, garbarzem, szewcem, krawcem, architektem itd. Właściwie istnieją tylko dwa rzemiosła: kowalstwo dla mężczyzn, a garncarstwo dla kobiet.

Kowale z żelaza krajowego lub z obręczy beczek, przywiezionych z wybrzeży, wyrabiają dziryty, strzały, kordelasy, toporki, cepy i inne narzędzia takiejże samej wartości. Kuźnie, jak to widzimy na naszym obrazku, znajdują się w stanie bardzo pierwotnym. Oto przed domem pod rozłożystem drzewem widać rozpalone ognisko. Po prawej stronie widzimy miech i poruszającego nim murzyna, po lewej kowadło i kującego towarzysza. Wszystko to umieszczone jest na ziemi. Najlepiej zaopatrzone mają małe kowadła, wielkości 6 do 8 centymetrów i młot; w innych osadach zamiast kowadła używają zwykłego kamienia. Miech jest jednakowy w całej podrównikowej Afryce.


Kuźnia polowa w Humbe.

Kobiety, trudniące się garncarstwem, nie mają ani warstatu, ani żadnych narzędzi; stępa do mąki służy im także do wyrabiania gliny. Następnie w ręku lepią naczynia, mogące pomieścić od 40 do 50 litrów i pomimo braku środków pomocniczych, odznaczające się kształtem bardzo prawidłowym, niekiedy nawet eleganckim, wypalanie odbywa się na wolnem powietrzu zapomocą traw i wysuszonego nawozu; trwa niedłużej nad jeden dzień.

Całem bogactwem tego kraju są trzody. Owakumbowie wywożą woły poza granice swych osiedli, ale niechętnie się ich pozbywają i to wówczas tylko, kiedy ich zmusi do tego konieczna potrzeba; całą bowiem ich dumę stanowią trzody. Murzyn nie chce nic wiedzieć o korzyściach, jakieby mu dały jako zwierzęta juczne. Mleko krowie na ser przerobione mogłoby mu także dać niezłe dochody, ale jest za leniwy, aby się tem zająć.

Oprócz krów hodują też owce i kozy, a z drobiu kury. Starano się zaaklimatyzować i konie, lecz smutne wyniki tych prób kazały ich zaniechać, wszystkie bowiem dostają karbunkułu i niezwłocznie zdychają. Muły i osły aklimatyzują się wybornie i oddają im znaczne usługi.

Ponieważ kraj mało dotychczas jest zbadany, więc trudno mówić o istniejących w nim dzikich zwierzętach, ptakach i owadach. Zdaje się wprawdzie, że jest ich tam pokaźna liczba. Rzeka Kunene obfituje w krokodyle i hipopotamy, w lasach mnożą się lwy, bawoły, nosorożce, antylopy, żebry i słonie, strusie zaś przebiegają równiny.

Miast niema wcale w tych okolicach, największe zaś nagromadzenie ludności przechodzi rzadko pięćdziesiąt nędznych chałup. Nazywają je „libatas“, z wyjątkiem mieszkania królewskiego, zwanego „imballa“. Te „libatas“, czyli wioski, składają się co najwięcej z ośmiu lub dziesięciu rodzin i każda ma swego naczelnika czyli „muene“, wybranego przez króla na całe życie. Spełnia on obowiązki burmistrza i sędziego i jest odpowiedzialny za czyny wszystkich swoich poddanych.


Widok zagrody wiejskiej w krainie Humbe.

„Libatas“ są zwykle zbudowane jak warownie, gotowe na wypadki napadu lub wojny. Wieś taką widzimy właśnie na naszym drugim obrazku. Jest ona ufortyfikowana, a fortyfikacje jej składają się z podwójnego opasania: pierwsze stanowi parkan kolczasty, drugie palisada, mająca około półtrzecia metra wysokości. Przy wejściu leży obszerne podwórze, stanowiące plac publiczny. Drugie warowne wrota prowadzą do mieszkań. Chaty stoją w półkole, którego środek zajmuje wspólne dla wszystkich trzód pastwisko. Każda rodzina posiada dwie lub cztery chałupy i osobny dziedzińczyk, na którym w porze suchej urządzają kuchnie, podczas deszczów zaś gotują w mieszkaniach. Każda zagroda oddzielona jest od drugiej prawdziwym labiryn-

tem krętych i wąskich ścieżek, otoczonych palisadą.

Chata murzyna jest zawsze okrągła, zbudowana z pni drzewnych wysokości człowieka, korą ze sobą powiązanych. Szpary zalepiają gliną, nad chałupką zaś wznoszą dach stożkowaty ze słomy. Z powodu braku desek, rzadkich w tym kraju, drzwi składają się z grubych kijów, połączonych kijem poprzecznym. Drzwi te zawieszają się w górze i otwierają na zewnątrz, z wielką łatwością dla będących w chacie, a z trudnością dla stojących na zewnątrz. Zamiast drzwi z powiązanych kijów używają też kawałka skóry.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli“ przez K. L.

1. Opuszczona i odtrącona.

Wilja Bożego Narodzenia!

W oddali przebrzmiały uroczyste dźwięki dzwonów kościelnych. Iskrzący się śnieg przyoblека ziemię w białą szatę. Święta cisza zawisła w powietrzu nad pogrążoną we śnie zimowym przyrodą.

Ubogo odziana, drżąca z zimna młoda kobieta chwiejnym krokiem dąży po śniegu, niosąc na ręku dziecię owinięte w cienką, wytartą chustkę.

— Zimno mi mamo! — ach tak zimno!!! — skarżą się zziębłe dziecięce usteczka.

— Cicho, dziecino, niedługo już dojdziemy do domu, gdzie zaśniesz w ciepłym pokoju!

I kobieta przyspiesza kroku, mocniej przyciska dziecię do siebie, jakby je pragnęła rozgrzać własnem ciałem; mija po obu stronach chaty wieśniacze, których małe okienka połyskują światłem pośród ciemności nocnych. W każdej niemal z chat tych płonie choinka, bo wszędzie, gdzie tylko są dzieci, matka zapala w dzień ten uroczysty świeczki na bożem drzewku.

Przed brodzącą po śniegu młodą kobietą wznosi się nieco dalej na wgórzu stojący pałac, którego wyniosłe ściany i balkony rysują się na gwiaździstem niebie.

Dygocąc z zimna, z bijącem sercem stoji teraz wątła, delikatna młoda istota przed rodzinnym pałacem swego ojca: dumnego hrabiego Wielhorskiego.

Brama, nad której kratą połyskuje herb złocony jest zamknięta. Ten pałac, toć jej dom rodzinny, tu upływały szczęśliwe dziecięce lata!... A dziś jakże doń wraca! — Jak żebraczka! Dreszcz nią wstrząsnął na tę myśl.

Trzy lata minęły od tej chwili, kiedy młodziutka hrabianka Iza opuściła pałac ojcowski, trzy lata odkąd nie widziała już ani drogiego ojca, ani czule kochającej ją matki, trzy lata, odkąd w świecie, daleko, walczyć musiała z troską, zmartwieniem i nędzą, — ona jedyna córka bogatego hrabiego Wielhorskiego.

A ileż ona przeszła przez te trzy lata!

Niepewna i wahająca stoi teraz przed bramą pałacową — innego nie było już dla niej wyjścia!...

Skostniałe palce z drżeniem sięgają do rękojeści dzwonka, którego dźwięk rozlega się po korytarzach starożytnego pałacu.

Lokaj w kapiącej złotem liberji, wychodzi do bramy i oczy jego z ciekawością przypatrują się, przez ciężką żelazną kratę bramy, postaci tam stojącej.

— Darmozjady, próżniaki! — krzyczy z gniewem, — to żebractwo i w nocy nie daje ludziom spoczynku. — Wynoście mi się, — o tej porze nic się nie daje żebrakom.

Serce stojącej przed bramą kobiety ścisnęło się nieopisanym bólem, na te grubiańskie słowa.

— O otwórzcie mi, proszę otwórzcie, — nie mogę już dalej iść z dzieckiem, — poproście pana hrabiego, aby mnie przyjął, — wydarło się z ust nieszczęśliwej.

— Z panem hrabią mówić nie można! — odpowiedział szorstko służący i odwrócił się.

— Ja muszę mówić z panem hrabią! Hrabia jest tak dobry i miłosierny, wiem to, że nigdy jeszcze nie odprawił od swego progu tych, co prosili o wsparcie.



Ubogo odziana dążyła po śniegu.

Słowa te wzruszyły serce służącego, — wpuścił ubogą, potem poszedł, aby zawiadomić swego pana o szczególniejszych nocnych odwiedzinach.

* * *

Przed biurkiem, w swoim wspaniale urządzonym gabinecie, siedział z głową wspartą na dłoni, hrabia Wielhorski.

Samotny w ten wieczór wigilijny, pogrążony w smutnych myślach, nie posłyszał zrazu hrabia pukania służącego, który teraz pocichu uchylił drzwi i wsunął się do pokoju.

— Jakaś żebraczka koniecznie doprasza się przyjęcia i nie daje się odprawić żadnym sposobem, proszę pana hrabiego, — zameldował.

Hrabia popatrzał zdziwiony.

— O tak późnej godzinie? — spytał, — Któż ona jest i czego chce?

— Nie widziałem jeszcze nigdy jej dotąd, — odpowiedział lokaj, — zdaje się, że to nie tutejsza.

— To niech jej dadzą co zjeść w kuchni, — rozkazał hrabia. — I trzeba jej dać na tę noc przytułek, skoro go nie ma.

Wtem u drzwi rozległo się ciche, nieśmiałe pukanie. Po chwili weszła uboga kobieta. Ze zdziwieniem popatrzał hrabia na tę postać ubogą i chciał wybuchnąć gniewem na takie natręctwo, kiedy nieznajoma odsłoniła chustkę.

— Ojcze! — Mój ojcze — wydarło się z ust wątłej postaci, której szlachetna twarz przybrała wyraz błagalny.

— Izabella! — zawołał hrabia, przerażony zrywając się z krzesła.

To była jego nieszczęśliwa, odtrącona córka.

— Ojcze mój! — Przebaczenia! — Przebaczenia! — zawołała nieszczęśliwa, drżącym od łez zdławionym głosem.

— Moje dziecko Iza! — wydarło się z ust i przejęty boleścią załamał starzec ręce. — Jak ty wyglądasz, — skąd przychodzisz, — czego chcesz?

Ale na chwilę tylko zwyciężyła boleść. Natychmiast spochmurniało jego czoło.

— Nieszczęsne dziecko — zawołał — wstyd i hańbę ściągnęłaś na me siwe włosy, — potajemnie opuściłaś dom rodzicielski i poszłaś za niecnym uwodzicielem. Już nie jesteś mojem dzieckiem! — ja nie jestem twoim ojcem. Wszystko między nami skończone.

— Ojcze, o bądź miłosierny, — krzyknęła młoda kobieta. Jeżeli już nie mogę być twojem dzieckiem, — to przynajmniej nie odmawiaj mi schronienia u siebie.

— Przeklętym niech będzie nędznik, który taką hańbę ściągnął na nasz dom i ty wraz z nim, niema dla ciebie miejsca pod moim dachem. Matka twoja umarła ze zgryzoty i wstydu przez ciebie.

Zrozpaczona kobieta przyprowadziła swoje dziecię, sądząc, że ono wzruszy serce dziadka, lecz duma hrabiego zwyciężyła litość i odtrąciła je od siebie.

— Oby ci Bóg przebaczył, biedny mój nieszczęśliwy ojcze! Żegnaj, — wyszeptały pobladłe usta opuszczonej kobiety. Drzwi zamknęły się.

Starzec nie zauważył, że córka oddaliła się. Naraz zerwał się przerażony i począł wołać:

— Izo moje dziecko.

Lecz tylko echo odpowiedziało. Śladu jego córki nie było.

2. Zdala od ojczyzny.

W swej rozpaczy, nie mając dla siebie innej rady, przy pomocy pewnej poczciwej rodziny, nieszczęśliwa Iza, wybrała się z dzieckiem za morze do Nowego Jorku, aby odnaleść ojca swego dziecka, który ich opuścił tak haniebnie, pozostawiając na pastwę nędzy i zmartwienia.

Niewiernego męża nie mogła jednak znaleść; pracować musiała tak ciężko jak najuboższa kobieta z ludu, aby zarobić dla siebie i swego dziecka na kawałek chleba.

Wszystko to znosiła w milczeniu, z poddaniem się woli Bożej, ona wypieszczona córa hrabiowskiego rodu. — Od wczesnego rana do późnej nocy pracowała w nędznej izdebce na poddaszu, ale teraz kiedy zachorowała jej dziecina, siły jej duszy zostały złamane. Ciężka nędza zaglądnęła pod ich dach. Lekarstwo dla dziecka się skończyło a i czynsz za mieszkanie nie był zapłacony. Siedziała więc pogrążona w rozpaczy.

Naraz ostry krok dał się słyszeć na korytarzu. Drzwi otwarto gwałtownie i wysoki, tęgi mężczyzna o pospolitych, ordynarnych rysach twarzy, stanął na progu.

— No, a jakże tam będzie z czynszem za mieszkanie? — krzyknął na młodą kobietę, która wystraszona zerwała się z krzesła.

Blada z trwogi, spoglądała na gospodarza domu.

— Niech pan jeszcze zechce mieć cokolwiek cierpliwości — rzekła łagodnym głosem. — Moje dziecko chore jest ciężko od kilku tygodni, nie mogłam przez ten czas nic zarobić!

— A cóż mnie obchodzi twój bęben? — zawołał gospodarz rozzłoszczony, — ja żądam zapłaty za mieszkanie, inaczej —

— O! miej pan litość! Zlituj się nad moją nędzą, nad mojem dzieckiem — błagała nieszczęliwa — bądź pan cierpliwym jeszcze tylko przez dni kilka.

Gospodarz z obelgą na ustach, wyznaczył termin zapłaty do wieczora tego dnia i opuścił mieszkanie.

Izabela siedziała tak pogrążona w swej boleści, że nawet nie słyszała jak do drzwi cicho zapukano i wszedł młody, przystojny mężczyzna. Był to pułkownik Rogers, jeden z nielicznych znajomych w N. Jorku.

Wyraził wielką radość z powodu odnalezienia jej mieszkania i zapytał o przyczynę jej ukrywania się. Odpowiedziała, że straciła dawną pracę, wskutek tego przeniosła się w tę dzielnicę, aby wyszukać jakie zajęcie. Pułkownik obiecał jej dopomóc w znalezieniu innej pracy i opuścił mieszkanie.

Izabela przy pomocy pułkownika Rogersa, zdołała odnaleść ślady męża i dowiedziała się, że przebywa w Nowym Jorku, zmienił nazwisko i ożenił się powtórnie z bogatą Amerykanką. Postanowiła więc napisać list do niego, aby mogła się dostać do jego domu w charakterze towarzyszki jego żony, gdyż pomimo, tak nieszlachetnego postępowania, nie przestała go kochać. List ten wkrótce wysłała.

3. Nieświadoma i szczęśliwa.

Zegar wieżowy na City Hall, ratuszu Nowego Jorku, wskazywał piątą po południu ,kiedy wysoki, elegancko ubrany mężczyzna szedł ku stacji obwodowej koleji, przechodzącej nad domami, którą zamierzał powrócić do siebie.

Wytworna, elegancka jego powierzchowność zdradzała człowieka światowego ze sfer najbogatszych. Głowę podniesioną miał wysoko, jak ten co wie, iż coś znaczy na świecie.

I John Gould mógł mieć takie o sobie mniemanie, posiadał bowiem w wielkiej mierze wszystko to, co ludzie uważają za najwyższe szczęście. A jednak ponury cień jakiś zasępiał, tę twarz niezwykle, uderzająco piękną.

Przed rokiem mniej więcej, on co dotąd nie był darzony szczęśliwym losem, poślubił jedną z najpiękniejszych i najbogatszych panien Nowego Jorku, córkę wielomiljonowego bogacza Smitha. Posiadał wspaniały dom, urządzony z najwytworniejszym zbytkiem, trzymał najpiękniejsze rasowe konie, — słowem życie, jakie pędził w swym pałacu na ulicy Clinton nie pozostawiało nic do życzenia.

Właśnie wszedł na peron dworca; wtem drgnął nagle. Poczuł, że ktoś dotknął jego ręki, którą w tył założył i wsunął w nią list jakiś.

Niechętnie odwrócił się, — nie mógł jednak stwierdzić, kto mu ten list wsunął w rękę, bo poza nim tłum sunął się w jedną i drugą stronę.

Niezdecydowany przypatrzył się małemu, eleganckiemu liścikowi, na którym nie było żadnego adresu. Już chciał go z gniewem odrzucić na bok, kiedy nagle wzbudziła się w nim ciekawość.

Szybko odstąpił nieco na bok i rozerwał kopertę, zaledwie jednak przebiegł pierwsze listu wiersze, śmiertelna bladość pokryła jego lico i papier zadrżał w jego ręku. Był to bowiem list od Izy, w którym prosi o przyjęcie jej do swego domu.

Ten list, który czuł teraz w swej kieszeni, wyrywał go nagle z wymarzonego szczęścia, z tego raju, który sobie zdobył.

Wszedłszy w pustą ulicę, gdzie nikt na niego nie mógł zwracać uwagi, doczytał do końca.

— Niesłychane! — chce dostać się do jego domu!

— Nie, — nie, — jęknął — nigdy.

A jednak cóż ma zrobić? — nie widzi żadnego wyjścia. Szedł nie mogąc odzyskać spokoju. Dręczyło go sumienie.

Przed oczyma stanęła mu Iza, — jako delikatna, niewinna dzieweczka, — potem jako dobra, pełna poświęcenia i miłości żona. Widział przed sobą, teraz bladą, szlachetną jej twarz, z której biła taka moc uczucia i dobroci serca niezmiernej. W całej swej piękności i dostojeństwie zjawiła się przed nim to córka hrabiowskiej rodziny, która zapłonęła ku niemu nadziemską miłością i uwierzyła fałszywym jego przysięgom.

Niedoświadczoną, łagodną dziewczynę, ubóstwianą przez rodziców, umiał on znający świat, zręczny szalbierz, oplątać w swe sieci i skłonić, by go zaślubiła przeciw woli rodziców. Podstępem, niemal gwałtem wywabił ją z rodzicielskiego domu. Chodziło mu głównie i jedynie tylko o jej wielki majątek. Pewien był, że rodzice radzi nieradzi pogodzą się z tem, czego odmienić nie będzie można i, że zostanie w przyszłości dziedzicem olbrzymiej fortuny.

Ale tu się pomylił; rodzice nie mogli przebaczyć ani uwodzicielowi, ani nieszczęśliwej jego ofierze, — jedynemu swemu dziecku.

Widząc się tak zawiedziony w chytrych rachubach, wkrótce zobojętniał dla pięknej swej żony i opuścił ją, zostawiając w wielkiej nędzy.

Na ziemi amerykańskiej, dokąd schronił się teraz, wypłynął pod fałszywem nazwiskiem; tu niebawem umiał pozyskać sobie wstęp w najpierwsze towarzystwo i wprędce znalazł sobie nową ofiarę swej żądzy bogactw i zbytków.

Odrazu stał się on jednym z najznakomitszych ludzi w Nowym Jorku; do tego posiadał jeszcze piękną, zacną i przywiązaną doń serdecznie małżonkę.

Wszystko to zawdzięczał swej imponującej piękności, eleganckiem manierom i pewnemu siebie zachowaniu. Żadna dziewczyna nie mogła się oprzeć jego ujmującej powierzchowności, skoro tylko zapragnął ją podbić.

A teraz to szczęście, to bogactwo, — wszystko miał utracić od jednego razu?

Nigdy, przenigdy! Choćby to nawet kosztować miało życie! Drgnął, przeklęty. Myśl okropna, zbrodnicza przebiegła mu przez głowę.A gdyby Izę uczynić nieszkodliwą, — uprzątnąć ze swej drogi?

Sam uląkł się siebie. Miałżeby zostać mor...

Nie śmiał dokończyć tego słowa. Czy nie najlepiej będzie, jeśli spełni prośbę Izy i przyjmie ją do swego domu. Skoro ją będzie miał przy sobie, — będzie ona w jego mocy...

Znużony i wyczerpany powstał nazajutrz mister John Gould ze swego łóżka. Przez całą noc dręczyło go zdarzenie wczorajsze. Nie mógł otrząsnąć się z tej myśli, że Iza chce się dostać do jego domu. A jeśli go zdradzi! — jeśli jego występek odkrytym zostanie.

Jak ścigany przez furje, opuścił wreszcie mister Gould swe łoże.

Na progu sypialni powitała go Mary podaniem ręki i serdecznym pocałunkiem. Nigdy może jeszcze nie odczuł tak bardzo całej nikczemności swego oszukańczego postępowania, jak w tej chwili, kiedy rozpromieniona szczęściem, ujmująca jego żona serdecznym witała go uściskiem.

Wyraz — oszust — wciąż głos jakiś szeptał mu w ucho. Bladość jego twarzy i pomięszanie widoczne nie uszły baczności jego żony, dlatego też podwoiła jeszcze swą czułość dla niego przy śniadaniu. Nie domyślała się, jak ponure i okropne myśli dręczyły jej męża.

Wreszcie pokonał siebie, i obłudnym głosem oznajmił Mary, że chcąc ulżyć jej w pracy domowej, wyszukał dla niej odpowiednią towarzyszkę, która także chwile jego nieobecności, będzie z nią spędzała.

Mary uszczęśliwiona jego troskliwością serdecznie mu dziękowała...

Wkrótce potem pożegnał się z żoną i poszedł do swego kantoru. Ale po drodze najokropniejsze dręczyły go myśli.

Widział już siebie pod pręgierzem, widział, że mu zdzierają kłamliwą maskę z twarzy; przed oczyma stanął mu wielki ponury budynek — więzienie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Skamieniała pastuszka.

(Z podróży po Wołyniu.)

Jadąc ze wsi Gniezdyczno do Wiśniowca, odległego o jakich ośm kilometrów od tej wsi, i przejeżdżając mimo jedynie ocalałego w tych kiedyś przebogatych lasami okolicach dębowego lasu, malowniczo rosnącego na dominującej nad wsią Myszkowcami górze, u stóp której błyszczy lustrzana tafla wielkiego Myszkowieckiego stawu — bezwarunkowo rzuci się w oczy fantastyczna grupa kamieni, w nieładzie rozrzuconych na pięknej runi zbocza lasem ukoronowanej góry.

Pośród tej grupy kamieni, porośniętych starym mchem, jest wielki kamień, swoimi dziwacznymi kształtami przypominający dziewczę, rękawem ocierające łzy z ócz, otaczające zaś ją kamienie wydają się pasącą się trzodką owieczek.

Przed wojną, jak opowiadają włościanie tych okolic, to podobieństwo kamieni do żyjących istot było znacznie większe, lecz w czasie „Swobody" kamienie te zostały zeszpecone przez pastuchów, którzy obrali sobie je za cel do strzelania z obciętych karabinów.

Patrząc na te dziwaczne kamienie, wprost nie chce się wierzyć własnym oczom, że jestto fantastyczny kaprys natury, a nie praca jakichś starożytnych artystów-cyklopów, być może jeszcze w kamiennej epoce wyrzeźbiwszy to płaczące dziewczę!

Nie dziw więc, że pośród ludności tych okolic o tych kamieniach ułożyła się taka oto legenda:

„Ongiś zła i leniwa dziewczyna, jakich, niestety, dziś więcej, niżeli dobrych, pasła na tej górze trzodę owieczek. I oto kiedy staruszka-matka przyniosła jej jedzenie i nie mogąc wyleźć na górę, zawołała ją na dół, zła i leniwa dziewczyna nie usłuchała matki i odpowiedziała jej ostro:

— Nic się wam nie stanie, jeśli wydrapiecie się do mnie!

Zapłakała starowina i nie pomna siebie rzuciła przekleństwo:

— Ażebyś skamieniała tam razem ze swoją trzodą! — i stękając i oblewając się łzami, polazła starowina na górę. Lecz jakże okropne było jej przerażenie, kiedy wydrapawszy się na górę, zobaczyła, że przekleństwo jej się spełniło i nieposłuszna córka, wraz z owcami, zamieniła się w grupę kamieni!

Długo gorżko płakała zrozpaczona matka, ale niestety — próżny już był żal: skamieniałej córce nie wróciło się życie i tak ona została na tej górze aż do tej chwili, póki sprawiedliwy Sędzia nie powoła jej na Swój Sąd ostatni... Zrozpaczona matka postradała z żalu zmysły i powiesiła się w lesie na tej-

że górze, lecz taka śmierć nie dała jej spoczynku: co północ przychodzi ona do okamieniałej córki i póki kur nie zapieje, przeraźliwie jęczy i płacze, wołając po imieniu córkę, a stoustne echo daleko roznosi te okropne jęki, mrożąc krew w żyłach zabobonnych włościan..."

— I nie dumajte, panie, szczo to je bajka, — tak zakończył swe opowiadanie mój furman, stary Dmytro, — szmat ludej czuło toj strasznyj płacz bidnoj matery!

Nic na to nie odpowiedziałem, w zamyśleniu patrząc na piękne i zarazem smętne pola wołyńskie.

O, ziemio wołyńska, kto zbada twe tajemnice?!

Jan Mazurkiewicz.



Poradnik gospodarczy.

Wąglik.

Choroba, zwana wąglikiem jest chorobą zakaźną u bydła. Bydło zapadłe na nią kulawieje, a na ciele, zwłaszcza w okolicy tylnych łydek, łopatek i na karku pojawiają się gorące i bolesne obrzęki.

Przyczyną tej choroby są bakterje (laseczniki) pręcikowe, znajdujące się w ziemi w pewnych okolicach, zwłaszcza takich gdzie grunta są zarośnięte krzakami, bagniste i kiepsko drenowane. W niektórych okolicach choroba ta zdarza się stale prawie co roku i wyrządza poważne straty w stadach bydła. Najczęściej zapada na nią bydło liczące pół do czterech lat. Cielęta karmione mlekiem i na pastwisko nie wypuszczane, bardzo rzadko chorują. Rzadziej zapada też bydło starsze nad 4 lata, niż bydło młodsze. Konie, ani ludzie na nią nie zapadają.

Zarażenie następuje przez wniknięcie bakteryj lub ich zarodników przez powierzchowne ranki i zadraśnięcia w skórze lub w błonie śluzowej. Zakażenie powstaje także wskutek spożywania zarażonej karmy i picia wody. Następuje to wtedy, gdy na pastwisku pozostawia się zdechłe sztuki bydła, które na tę chorobę zginęły. Niezagrzebana padlina zaraża pastwisko, lub wodę w stawach i strumykach, do których pasące się bydło ma dostęp.

Wąglik nie jest chorobą zakaźną w dosłownem znaczeniu słowa, albowiem nie przechodzi z chorych zwierząt na zdrowe przez proste zetknięcie się. Przyczyną powstania tej choroby jest zawsze zarażona ziemia i pastwisko, i to świadczy, że jest właściwą tylko pewnym okolicom.

Zapada na nią bydło młode puszczone na pastwisko wczesną wiosną lub latem, a także przy końcu lato i jesienią, kiedy powysychały wody na pastwiskach i bydło na tych miejscach się pasie. A zaś bardzo rzadko pojawia się ta choroba w zimie, gdy bydło trzyma się w stajni i na oborze.

Skoro tylko bydło na tę chorobę zapadnie, to jest, kiedy bakterje wąglikowe dostaną się z ziemi do rany, choroba rozwija się nadzwyczaj szybko. Przebieg choroby jest również bardzo krótki i zazwyczaj, w przeciągu $2^1/_2$ do 3 dni choroba kończy się śmiercią. Pierwszym objawem wąglika jest zwykle nagłe okulawienie; zakażone zwierzę okazuje chód sztywny, kulejąc często nagle na tę lub ową nogę. Wkrótce tworzą się obrzęki w okolicy zadnich łydek i przednich, na karku, łopatkach i innych częściach ciała.

Sposób przechowywania wędliny.

Wysuszyć dobrze żyto na słońcu, lub lepiej w piecu, położyć wędlinę do suchej beczułki,i tem żytem zasypać ją zupełnie. Po upływie paru tygodni zajrzeć do beczułki; jeżeli wędlina zaczyna pleśnieć, wyjąć ją, obetrzeć dobrze suchym gałgankiem, żyto i beczułkę znów przesuszyć i wędlinę złożyć jak uprzednio. Takim sposobem przechowana wędlina nie wysycha i ochrania się ją od much, które są główną przyczyną psucia się w lecie wędliny.

Skubanie pierza u drobiu.

Kury mają często brzydki zwyczaj skubania pierza. Przyczyna tego może być różna. Najczęściej zdarza się to przez przypadek. Kura skubie swoją towarzyszkę, wyrwie jej pióro, które u nasady jest nieco zakrwawione. Zakosztowawszy krwi, zaczyna coraz zapamiętalej skubać, a inne idą za jej przykładem i skubią się nawzajem.

Ażeby temu zapobiec, należy nasmarować szyję, grzbiet i dolne pióra ogona tych ptaków, które pióra straciły mieszaniną smalcu i aloesu. Aloes jest tak gorzki, że kury go nie znoszą i wnet od skubania się odzwyczają. Aloes nabyć można w formie proszku w każdej aptece. Proszku domieszać do smalcu małą tylko ilość, tyle, aby mieszanina przybrała kolor aloesu.

Poradnik kucharski.

Polędwica w sosie własnym. Pokrajać polędwicę na grube kawałki, spłaszczyć je trochę, maczać w sklarowanem maśle, ułożyć na brytwannie i smażyć na mocnym ogniu, przewracając kilka razy. Skoro będzie prawie gotowa, zlać masło, podsmażyć w nim łyżkę mąki, zmieszać z kilku łyżkami buljonu, zagotować i zalać ułożoną na półmisku polędwicę. Do polędwicy daje się różne garnitury, jak: kapustę czerwoną duszoną w winie, buraczki, ziemniaczki drobno wykrawane łyżeczką żelazną i obsmażane na surowo w maśle, makaron włoski obsypany parmazanem, wszelkie jarzynki, grzyby i rydze. Bardzo dobrze także smakuje polędwica z sardelowem masłem. Gdy już polędwica pokrajana na półmisku, postawić z dwóch brzegów półmiska koszyki zręcznie wykrojone z dużych kartofli lub kromki chleba, a w nie włożyć masło sardelowe, lub skrobany chrzan. Jeżeli polędwica ma zastąpić pieczyste, podaje się do niej rozmaitą sałatę, czy to zieloną, czy z jarzyn i pików, czy wreszcie zimową porą z surowej kapusty.

Polędwica. Wyżyłować i obrać z tłuszczu polędwicę, naszpikować młodą słoninką, dać na rozpalone masło, przyrumienić i zalać kwaśną śmietaną i gotować 30 minut. Wydając ubrać różnemi jarzynami.

Polędwica. Wyżyłowaną polędwicę dać na rozpalone masło, dodać najrozmaitszych jarzyn, dusić pół godziny, poczem wydać z własnym sosem z jarzynami.

Polędwica faszerowana. Obraną z żył i łoju polędwicę przekroić na długość tak, by się trzymała jedna część z drugą, posolić i nałożyć farszem ze siekanych grzybków suszonych lub świeżych, złożyć razem, zawiązać nitką i dać na rozpalone masło, osypać mąką, podlać buljonem lub kwaśną śmietaną, zagotować i wydać z jarzynką.

KRONIKA.

Nowe pieniądze polskie. W lutym tego roku ukażą się nowe pięciozłotówki, bite ze srebra. Mennica państwowa otrzymała i przekazała do skarbca Banku Polskiego miljon sztuk monet 5 złotowych. Dalszy transport srebra nadejdzie wkrótce z Anglji, poczem mennica będzie biła dalsze serje pięciozłotówek.

Krwawe wesele w Skotnikach. W nocy ze środy na czwartek odbywało się w jednym z domów w Skotnikach wesele, w czasie którego doszło do sprzeczki między biesiadnikami. Sprzeczka niebawem przeszła w krwawą awanturę, w czasie której kilku biesiadników pokrajało się nożami. Między innymi Jan Krasny, robotnik, lat 28, którego klatka piersiowa od żadanych cięć nożem przedstawiała się jak sito. Na miejsce krwawej awantury przybyła policja z Kobierzyna, która zaalarmowała pogotowie ratunkowe. Przybyły lekarz pogotowia udzielił przedewszystkiem pomocy pomasakrowanemu Krasnemu. Dwóch innych rannych nie można było opatrzyć, gdyż zbiegli na widok policji. Czwartego rannego z rozprutym brzuchem, herszta biesiadników, usadowiono na saniach, celem przewiezienia go przed przybyciem pogotowia do szpitala w Krakowie. Z powodu jednak zasp śnieżnych sanie ugrzęzły w śniegu i osobnik ów zmarł skutkiem upływu krwi.

Napad na plebanję. W ubiegłym tygodniu w nocy nieznani sprawcy dokonali napadu rabunkowego na rzymsko-kat. plebanję w Łańcucie. Około godziny 1 dostali się oni do budynku, poczem przy pomocy wytrychów wtargnęli do mieszkania chorego proboszcza ks. Mażanka. Bandyci przestraszonego ks. Mazanka steroryzowali rewolwerami. Oświadczając mu, że są bezrobotnymi, zażądali wydania im wszystkich pieniędzy, jakie tylko posiada w swojem mieszkaniu. Wobec tego ks. Mazanek zmuszony był dać napastnikom klucze, poczem ci z szuflady biurka zabrali 562 zł i trzy zegarki, a z kasy parafjalnej 510 złotych.



Następnie przeszukali różne schowki i szafy, szukając za cennymi przedmiotami, a gdy ich nie znaleźli, zakończyli rabunek. Przed opuszczeniem mieszkania bandyci ks. Mazankowi związali w tył ręce i pod grozą śmierci zakazali mu wzywanie pomocy, poczem zbiegli. Dopiero w dwie godziny później ks. Mazanek zdołał uwolnić się z więzów i zaalarmował służbę.

Podstęp rabusia. Ubiegłego tygodnia przez Rynek w Łańcucie przechodził w południe tamtejszy mieszkaniec Leib Schifman, trudniący się handlem. Przystąpił do niego jakiś nieznany mu osobnik, który oświadczył, że ma na sprzedaż dwie lisie skóry po 60 złotych. Schifman zgodził się kupić, a wówczas osobnik ten oznajmił, ze skóry te są ukryte w śniegu za miastem w polu, przytykającem do wsi Krzemice. Schifman zgodził się pójść z nim zaraz w pole, aby skóry zabrać. W drodze, gdy obaj zbliżali się już do wspomnianej wsi, nieznany osobnik nagle wyjął rewolwer i dwukrotnie z tyłu strzelił do Schifmana. Ciężko ranny Schifman padł na ziemię. a wówczas rabuś zabrał mu z kieszeni portfel, zawierający 800 złotych i zbiegł, pozostawiając Schifmana rannego na miejscu. Przed wieczorem dopiero ludzie przypadkowo znaleźli nieprzytomnego Schifmana i przewieźli go do Łańcuta.

Tragiczna śmierć inżyniera. Z Katowic donoszą: W ubiegłym tygodniu uległ śmiertelnemu wypadkowi inżynier Władysław Odrowąż-Sypniewski, dyrektor kopalni Radziaków, były długoletni pracownik departamentu górniczo-hutniczego w ministerstwie przemysłu i handlu. Przechodząc przez tor kolejowy inżynier Odrowąż-Sypniewski, tuż po przejściu pociągu towarowego nie zauważył, że z drugiej strony nadjeżdża pociąg osobowy i uderzony buforami poniósł śmierć na miejscu.

Martwy woźnica. Dwaj wieśniacy, przechodząc szosą niedaleko Łodzi, natknęli się na wóz chłopski ciągniony przez dwa konie. Zaintrygowani nieobecnością na wozie chłopa wstrzymali konie i spojrzeli na wóz. Wówczas oczom ich przedstawił się straszny widok. W słomie leżał trup woźnicy Józefa Brylikarskiego, mieszkańca wsi Rękorej, gminy Podolin. Powiadomiony o tem niezwykłem odkryciu posterunek policyjny wszczął natychmiast w tej sprawie dochodzenie, na skutek których ustalono, że Brylikarski w drodze uległ atakowi epileptycznemu i wskutek opóźnionej pomocy lekarskiej zmarł w drodze do Piotrkowa. Zwłoki odesłano rodzinie.

Dynamit w piecu. W pewnem mieszkaniu w mieście Łodzi służąca, Marja Miłosza, paliła w piecu. W pewnym momencie nastąpiła silna detonacja, skutkiem której piec został rozwalony, mieszkanie zniszczone, a służąca odniosła ciężkie rany. Wybuch ten spowodowany został drobnym ładunkiem dynamitu (środek wybuchowy), znajdującym się w kawałku węgla, a który pozostał tam najprawdopodobniej z okresu wydobywania węgla z kopalni przez rozsadzanie dynamitem większych brył węglowych.

Tajemnicze porwanie mężatki. Do warszawskich władz prokuratorskich wpłynęła skarga mieszkańca Węgrowa, 22-letniego Izydora Piotrowskiego, który żąda wszczęcia śledztwa w sprawie tajemniczego porwania jego żony. Piotrowski zaślubił w czerwcu ub r. mieszkankę Węgrowa, 22-letnią Chaję Silberbaum, która wyszła zamąż wbrew woli matki i opiekunów, zmieniwszy uprzednio wyznanie. Silbermanówna otrzymała na chrzcie św. imię Helena. Po ślubie dla młodej mężatki rozpoczęły się straszne dni. Podburzona przez jej krewnych ludność nie pozwoliła jej przejść spokojnie ulicami, obrzucając przekleństwami i wyzwiskami. Kilkakrotnie zasypano ją kamieniami i zgniłemi owocami. Wobec takiego stanu rzeczy młodzi małżonkowie postanowili przenieść się do stolicy. Toteż w listopadzie p. Izydor Piotrowski wyjechał do Warszawy, aby tu wystarać się o mieszkanie i znaleźć pracę. Poszczęściło się młodemu człowiekowi. Będąc z zawodu stolarzem, w parę dni po przyjeździe dostał pracę w warsztatach w Czerniakowie. Równocześnie dano mu mieszkanie w koszarach. Od Nowego Roku miał tam wprowadzić żonę. Tymczasem 13 grudnia p. Helena Piotrowska znikła w tajemniczy sposób. Według opowiadania świadków w czasie nieobecności teścia pod dom zajechał samochód, z którego wysiadło dwóch jakichś osobników i weszło do domu. Osobnicy ci wywieźli Piotrowską w niewiadomym kierunku, zabierając wszystkie jej rzeczy i dokumenty.

Teść po powrocie do domu zameldował niezwłocznie o tajemniczem porwaniu synowej komendantowi miejscowego posterunku, ale policja odmówiła pomocy. W ubiegłym tygodniu natrafiono dopiero na nikły ślad. Oto mąż, ks. proboszcz w Węgrowie i policja otrzymali jednobrzmiące listy, pisane przez Piotrowską, w których oświadcza ona, iż wróciła do poprzedniego wyznania i porzuciła męża, ponieważ ten ma... przyjaciółkę. Listy do męża i do policji podpisane są dwa razy, list do księdza ma aż cztery jednakowe podpisy. Mąż i inni twierdzą, że uprowadzona napisała te listy pod przymusem. Zapewne dopiero wyjaśni całą sprawę śledztwo policyjne.

Walka z ranioną wilczycą. W tych dniach w województwie wileńskiem zdarzył się rzadki wypadek walki człowieka z ranioną wilczycą. W związku z silnemi mrozami i opadami śnieżnemi — plaga wilków daje się odczuwać coraz dotkliwiej na Wileńszczyźnie. Wobec tego odbyło się szereg polowań, zorganizowanych przez starostwa. Na ostatniem polowaniu w puszczy Rudnickiej pod Wilnem jeden z naganiaczy, Józef Tarkowlak, podszedł do ogromnej rannej wilczycy, chcąc ją dobić. Nagle oszalałe z bólu zwierzę rzuciło się na człowieka, obaliło go na ziemię i usiłowało chwycić za gardło. Jednak Tarkowlak, nie tracąc zimnej krwi, wbił wilczycy długi myśliwski nóż w otwartą paszczę.

Oblężeni przez wilki. Z Wilna donoszą: Na zaścianek Zakowicze w powiecie dziśnieńskim napadła zgraja wilków w liczbie około 60 sztuk. Ofiarą zgłodniałych bestyj padły wszystkie psy, 3 konie, 2 krowy, 4 owce i kilkanaście sztuk nierogacizny. Jeden z mieszkańców został silnie pogryziony przez wilki.

Z tamtych okolic donoszą też o pomysłowem urządzeniu się dwóch jadących na wozie miejscowych wieśniaków, którzy zostali przez wilki opadnięci. Oto gdy spostrzegli nadbiegającą gromadę wilków, wyprzągnęli konia, którego poświęcili na żer dla zgłodniałych bestyj, sami zaś, przewróciwszy wóz, schronili się pod niego.



Nadbiegającym coraz to nowym wilkom jeden koń nie wystarczył, zaczęły więc atakować uwięzionych wieśniaków pod wozem. Ci zaś prażyli ich kulami z rewolwerów. Naboi jednak nie starczyło im na długo i byliby kto wie dokąd tak uwięzieni, gdyby nie nadeszła pomoc wojskowa, która rozżarte bestje częścią odpędziła, częścią wybiła.

Dwunastoletni morderca. W miejscowości Waldhaus w Czechach 12-letni chłopak nazwiskiem Tummert w czasie nieobecności rodziców zaprosił do siebie trzech chłopców na karty. W czasie gry wybuchła sprzeczka, Tummert zerwał ze ściany karabin ojca i zabił 8 letnietniego chłopca Setzela. Dwaj inni koledzy uciekli. Tummert wybiegł za niemi z karabinem, grożąc, że ich zastrzeli, jeżeli go zdradzą. Następnie zaciągnął zwłoki zabitego do lasu i ukrył je w śniegu wśród krzaków. Jeden z kolegów jednak zdradził zabójcę, wobec czego żandarmerja go przesłuchała. Charakterystycznem jest, że zdecydował się wskazać miejsce ukrycia zwłok dopiero wtedy, gdy zagrożono mu pozornie, że będzie zastrzelony.

Morderstwo z powodu siodła. W miejscowości Ickany w Rumunji dokonali chłopi brutalnego morderstwa z powodu — siodła. W jednym z szynków w Starych Ickanach siedzieli trzej chłopi: Piotr Hatnian i dwaj inni. Wozy wszystkich trzech stały przed szynkiem. Hatnian wyszedł kilka razy z szynku, aby doglądnąć swoich koni. Gdy w pewnym czasie dwaj inni wyszli również do swoich wozów, stwierdzili brak siodła. Zwrócili się więc do Hatniana z żądaniem oddania siodła, ponieważ podejrzewali go o kradzież. Hatnian oświadczył, że nic nie wie, zapłacił i wyszedł z szynku. Dwaj chłopi udali się za nim. Hatnian wsiadł do wozu i pojechał, a za nim pojechali i chłopi. Gdy Hatnian przybył do Ickan, zajechał znów przed szynk, ale zastał drzwi zamknięte. Zatrzymał się więc przed szynkiem; tutaj dognali go dwaj chłopi, którzy jechali wciąż za nim i wezwali go ponownie do oddania siodła. Gdy Hatnian oświadczył znowu, że nie wie, co się stało z siodłem, chłopi zadali mu kilkanaście pchnięć nożami, kładąc go trupem na miejscu. Naliczono siedm pchnięć w głowę, 12 w serce i jedno pchnięcie w oko.

Majątek w żołądku kota. W jednej ze wsi w pobliżu Tuluzy we Francji miejscowy gospodarz sprzedał na jarmarku kilka sztuk dobrze wypasionych wieprzy i otrzymał za nie sumę 12 tysięcy franków. Pieniądze schował do obszernej kieszeni, gdzie już znajdowała się w opakowaniu porcja smalcu wieprzowego. Wróciwszy do domu, ów gospodarz pieniądze zatłuszczone od smalcu począł myć i układać w kuchni na kominie, by wyschły. Obecny przy tem kot oblizywał się, czując nęcącą woń smalcu. Gospodarz ani obejrzał się jak 9 sztuk biletów 1000 frankowych znalazło się w żołądku kota. Właśnie dojadał ostatni banknot, gdy go pan złapał i zoperował na miejscu. Niestety, bilety były już pogryzione na drobne kawałki.

Katastrofa kolejowa. W nocy z niedzieli na poniedziałek wydarzyła się straszna katastrofa kolejowa w pobliżu Cherbourga. Expres, zdążający do Paryża wjechał całą siłą na samochód ciężarowy, który był przepełniony wycieczkowiczami. Samochód został przewrócony. Zderzenie było tak silne, że 6 osób poniosło śmierć na miejscu, a 23 osoby zostały ciężko ranne. Dopiero 200 metrów od miejsca katastrofy został pociąg zatrzymany. Maszynista, nie mogąc pogodzić się z tem, że zabił 6 osób, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie.

Pogrzeb z przeszkodami. Widownią niezwykłego zajścia było miasteczko Lorcam w Hiszpanji. Zmarła tam siedmnastoletnia dziewczyna. Kiedy w domu żałoby zebrali się krewni i znajomi, nagle załamała się podłoga i uczestnicy wraz z trumną zapadli się. Krzyki i jęki poranionych ludzi napełniły lochy piwniczne. Pomiędzy rannymi leżał zniekształcony trup zmarłej, który wypadł z trumny. Przeszło 40 osób odniosło ciężkie obrażenia. Dopiero po upływie kilku godzin udało się udzielić rannym pomocy lekarskiej.

Wyrodna matka powodem zbrodni. Amsterdam, wielkie miasto portowe w Holandji, było w tych dniach widownią strasznej zbrodni. Pewna matka, której mąż pozostaje w więzieniu, porzuciła swe dzieci i zamieszkała ze swym przyjacielem niejakim Cykstą. — W chwili, gdy czterech żandarmów przybyło do mieszkania, by aresztować matkę, która opuściła swe dzieci, Cyksta wystrzałami z rewolweru zabił wszystkich czterech żandarmów, poczem podpalił dom i uciekł. Morderca i jego przyjaciółka zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu.

Oryginalni bogacze. W Londynie, stolicy Anglji, ogromne zdziwienie wywołało postanowienie dwóch miljonerów londyńskich... rozdania swych ogromnych majątków ubogim i rozpoczęcia „nowego życia“ — opartego „na pracy rąk własnych“. Tymi ludźmi są hrabia Ennysmoore i Oswald Mocley. Hrabia Ennysmoore zrzekł się wszystkich swych tytułów i odtąd będzie nosił skromne nazwisko Wiliama Hyre. Były hrabia zostawia sobie tygodniowy dochód: 3 funtów szterlingów angielskich (około 150 złotych), cały zaś majątek wynoszący kilka miljonów funtów ofiarowuje na cele fundacji, która podejmuje w bardzo szerokim zakresie pomoc dla ludzi, zarabiających zbyt mało, by im pomóc prowadzić życie kulturalne, kształcić swe dzieci, mieszkać w znośnych warunkach i t. d.

Ofiary nauki. Wstrząsające wrażenie wywarło w Londynie samobójstwo dwóch lekarzy, Dra Artura i Dra Sidneya Smithów, których znaleziono z poderżniętemi gardłami martwych, w ich pokoju sypialnym. Obaj lekarze byli bliźniakami i znajdowali się w kwiecie wieku, bo liczyli dopiero 29 lat. Mimo swej młodości poczynili już doniosłe odkrycia w kierunku zwalczania rozmaitych chorób zakaźnych, a zwłaszcza poświęcili się studjom nad chorobą raka. Na ten temat napisali kilka dzieł, które w angielskich sferach lekarskich wywarły wprost sensacyjne wrażenie. W pokoju, w którym znaleziono trupy obu uczonych, znajdowała się wielkiemi literami wypisana na widocznem miejscu tablica: „Do narodu! Poświęciliśmy swe życie studjom nad zwalczaniem choroby raka. Dla tego celu oddaliśmy cały nasz majątek i pozostaliśmy w nędzy. Ta ruina materjalna rzuca nas w objęcia śmierci. Życie nie jest warte, aby je przeżywać“. Teorja braci Smithów polegała na zwalczaniu raka za pomocą radu. Były to studja bardzo kosztowne, na które rzeczywiście obaj uczeni poświęcali wszystkie swoje fundusze. Przed niejakim czasem starali się o pozyskanie subwencji państwowej, ale jej nie otrzymali. Jeszcze przed kilku dniami przeprowadzili bardzo trudną operację na pewnym chorym na raka i użyli do tego celu 10 igieł radjowych, wartości 200.000 dolarów. Ta kosztowna operacja wyczerpała ich zasoby i pociągnęła za sobą rozmaite zobowiązania wobec osób trzecich. W obliczu niemożności zaspokojenia swoich zobowiązań i dalszego kontynuowania studjów, którym poświęcili całą swoją wiedzę i cały swój majątek, woleli odejść z tego świata, w którym nie znaleźli zrozumienia. Powagi lekarskie twierdzą, że metoda Smithów posiada wszelkie prawdopodobieństwo skutecznego zwalczania raka i jedynie jej kosztowność stoi na przeszkodzie szerszego jej zastosowania.

Powstanie murzynów. Francuskie kolonje (posiadłości zamorskie) w Kongo w Afryce środkowej stały się widownią groźnego powstania murzynów. Zamordowali oni wielu białych. Powstańcy zażądali od władz francuskich natychmiastowego wycofania wojsk na odległość 60 kilometrów, grożąc w przeciwnym razie rozstrzelaniem jeńców i zniszczeniem fortów wojskowych.

Tragiczna pomyłka. Dzienniki angielskie donoszą z Peshavaru, że tajemnicze wydarzenie rzucenia bomby z samolotu na wojska angielskie na placu ćwiczeń wywołało przebieg następujący: Pomiędzy Peshavarem i fortem Ramrud przy wejściu do przesmyku Khyber znajduje się wielki plac ćwiczeń. Onegdaj oddział lotniczy armji angielskiej prosił oficera zarządzającego placem ćwiczeń o wyznaczenie tego miejsca dla dokonania manewrów lotniczych. Oficer udzielił tego pozwolenia, poczem porozumiano się, że odbędą się tam wspólne ćwiczenia jazdy, tanków i piechoty. Gdy na plac ćwiczeń przybył szwadron pułku jazdy indyjskiej, zawiadomiono oficera dowodzącego placem, że już odbywa się należące do ćwiczeń rzucanie bomb z samolotów. Wobec tego oficer komenderujący wydał eskadrze lotniczej sygnał: „Nie rzucajcie bomb“. Jednakże samolot, który leciał na wysokości 1.300 metrów, z powodu mglistości powietrza nie zrozumiał sygnału, sądząc, że jest to sygnał we wręcz przeciwnym kierunku i wobec tego rzucił bombę, która wybuchła na placu ćwiczeń, siejąc zniszczenie w promieniu 200 metrów dokoła. Ofiarą wypadku padło dwóch oficerów i 12 żołnierzy zabitych oraz 14 ciężko rannych, z których jeden dogorywa. Wszyscy należą do jednego z najstarszych pułków kawalerji indyjskiej.

Tragedja sobowtórów. Z Maine w Stanach Zjednoczonych donoszą o zabójstwie popełnionem w okolicznościach i z pobudek, jakich kroniki kryminalne nie notowały dotychczas. Młody inżynier Wiliam Franko popełnił zabójstwo na pewnym urzędniku bankowym jedynie dlatego, że ten był zupełnie do niego podobny. Inżynier Franko zajmował kierownicze stanowisko w wielkich warsztatach elektrycznych, uchodził za człowieka zdolnego i dzięki temu oraz innym zaletom miał wkrótce poślubić córkę jednego z bogatych kupców. Pewnego dnia udał się Franko do pewnego banku w jakimś interesie swej firmy i tam ku niepomiernemu zdumieniu ujrzał za jednem z biurek człowieka zupełnie do siebie podobnego. Podobieństwo było tak zdumiewające, że zmieszany inżynier przypuszczał w pierwszej chwili, iż ujrzał swe odbicie w wiszącem gdzieś na ścianie lustrze. Zwrócił na to uwagę także i ów urzędnik, jak również i wszyscy obecni przy tem niesamowitem spotkaniu. Ogarnięty dziwnem uczuciem Franko opuścił bank, dowiedziawszy się przedtem, że sobowtór jego nazywa się Wilkins i że został przed niedawnym czasem przeniesiony z Nowego Jorku do oddziału banku w Maine. Przypadek zrządził, że obydwaj spotkali się ze sobą w teatrze, gdzie Franko był w towarzystwie narzeczonej. Podczas przerwy Wilkins, spostrzegłszy kljenta swego banku, ukłonił mu się, lecz inżynier na ukłon nie odpowiedział i blady, zdenerwowany opuścił wraz z narzeczoną teatr. Przez kilka dni po tem spotkaniu nie zjawił się on w swem biurze. Wypadek w teatrze wytrącił go z równowagi duchowej i został opanowany dziwnem przeczuciem, że egzystencja tego sobowtóra zagraża jego bezpieczeństwu i sprowadzi nań nieszczęście. Myśl ta przerodziła się w chorobliwą manję prześladowczą, której straszne skutki ujawniły się niezadługo. Inżynier Franco jadał zwykle kolację wraz z narzeczoną w jednej z restauracyj, gdzie znała go cała służba. Pewnego wieczoru, spóźniwszy się, spytał kelnera, czy narzeczona jego była już i czekając długo opuściła lokal. Zadając to pytanie, ukazał stojący w niszy stolik, który zwykł był stale zajmować. Ale spojrzawszy w tę stronę, zatrząsł się z przerażenia: przy stoliku siedział Wilkins... Kelner w odpowiedzi oznajmił mu, że właśnie przed chwilą nadszedł do niego list i jednocześnie Franko ujrzał, jak chłopiec restauracyjny wręczał jakiś list Wilkinsowi. Nie panując już nad sobą, dopadł stolika, przy którym siedział urzędnik i wyrwał mu z ręki kopertę. List był od narzeczonej: zdezorjentowany zdumiewającem podobieństwem kelner, wskazał chłopcu siedzącego w niszy Wilkinsa i sądząc, że ma przed sobą swego stałego gościa inżyniera Franko, kazał mu doręczyć nadesłany dlań list. Pobladły i drżący Franko zażądał od Wilkinsa natychmiastowego usprawiedliwienia się, a gdy ten oburzony zachowaniem się inżyniera, kategorycznie odmówił, wyciągnął rewolwer z kieszeni i pierwszym wystrzałem położył go trupem na miejscu.

RZECZY CIEKAWE.

Jak walczyć z grypą?

Epidemja grypy przybiera coraz więcej zastraszające rozmiary. Z całego świata nadchodzą niepokojące wiadomości. W Ameryce zmarło w ciągu ubiegłych siedmiu tygodni 26 tysiący osób. Grypa zbiera śmiertelne żniwo i w Europie. W Berlinie zabrakło w szpitalach łóżek. Również i w Polsce epidemja grypy wzmaga się z rosnącą siłą.

W związku z tem niebezpieczeństwem, do walki z grypą winno wystąpić całe społeczeństwo, przestrzegając przedewszystkiem zasad higjeny. Najważniejszą może i najskuteczniejszą metodą zapobiegawczą jest unikanie miejsc publicznych, gdzie można się łatwo zarazić od osób, które może nie wiedzą, że już są chore. Mieszkania, w których panuje grypa, winny być oznaczone, a osoby chore izolowane od otoczenia. Przestrzeganie zaś zasad higjeny zabezpieczy napewno odpornie niejeden organizm. W każdym wypadku, należy bezwarunkowo zwrócić się do lekarza. Dokładne przewietrzanie mieszkania i czystość utrzymana w pokoju również zmniejszy niebezpieczeństwo zawleczenia tej groźnej choroby w swoje progi. W razie oznak chorobliwych lekarze zalecają płukanie gardła i jamy ustnej środkami desynfekcyjnymi, jak kwasem borowym, wodą utlenioną, oraz unikanie gwałtownych zmian temperatury. Zdrowi powinni uodporniać swe ciało na zmiany temperatury przez codzienne mycie zimną wodą.

Grypy nie należy lekceważyć, gdyż mimo lekkiego przebiegu choroby, skutki jej są niekiedy bardzo przykre, a nawet nieraz kończące się śmiercią. Zarazki grypy, jak twierdzą lekarze, wykorzystują podatny grunt, sadowiąc się w najsłabszym w organiźmie miejscu, którem jest tak zwanym „locus minoris resistentiae“ (miejscem najsłabszego oporu), a więc u jednych nerki, u drugich płuca, serce, wątroba itd. Silny organizm przetrzyma atak grypy, słaby jednak załamie się wkrótce, co pociąga za sobą kilkutygodniowe nieopuszczanie mieszkania, a nawet niekiedy łóżka. Trzeba więc uodpornić organizm, a wtedy łatwo stawimy czoło groźnemu niebezpieczeństwu.

Skamieniały człowiek.

Przed paru tygodniami odkryto w starej, chilijskiej kopalni miedzi, ciało robotnika zupełnie skamieniałe. Śmierć zaskoczyła robotnika nagle przy pracy, gdyż ciało jego znajduje się w pozycji klęczącej, a w ręku trzyma on jeszcze miedziany oskard. Zwłoki zatopione są w stężałym mule, który zapewne skutkiem trzęsienia ziemi, runął z przesiąkniętej wodą ściany.

Zachowanie się ciała zatopionego w mule przez setki zapewne lat, bo bez wątpienia jeszcze za czasów epoki miedzianej w poł. Ameryce — jest zupełnie zrozumiałe wobec braku dostępu powietrza. W takich warunkach przechowały się w mułach syberyjskich mamuty wraz z mięsem i skórą, pomimo upływu wielu tysiący lat. Jednak zupełne skamienienie ciała znalezionego w kopalni miedzi w Chili jest pewnego rodzaju fenomenem. Zapewne muł zawiera wiele związków wapnia i te nasyciły tkanki ciała, podobnie jak to się dzieje z przedmiotami zanurzonemi w źródłach karlsbadzkich.

Ciało robotnika wydobyto i postanowiono umieścić, jako kamienny posąg, w muzeum.

Zapewne dzieci zwiedzające w przyszłości to muzeum, będą przyglądały się temu posągowi jako przykładowi tak często w bajkach opowiadanych historyj, o skamieniałych ludziach. Właściciele zaś starej, opuszczonej kopalni miedzi czynią dalsze poszukiwania za złożami rudy miedzianej i być może w stężałym namule pokrywającym sztolnie znajdą jeszcze dalsze skamieniałe ciała, robotników zasypanych skutkiem trzęsienia ziemi przed setkami lat.

Jak długo pisze się książkę?

W Anglji jest rzeczą ogólnie znaną, iż pisarz Edgard Wallace, nowoczesny rywal Conann Doyle'a, autora wielu powieści kryminalnych, pracuje obecnie wprost w zawrotnem tempie. Jest on niezmiernie płodny. Zaledwie jedna jego książka opuści prasę księgarską — już pojawia się druga! Ta właściwość Wallace'a jest dla pism londyńskich niewyczerpanem źródłem dowcipów i anegdot. I tak opowiedziała w tych dniach jedna z londyńskich gazet następującą historję: Znajomy zwraca się telefonicznie do Wallace'a. — Hallo! Czy mówię z p. Wallacem? — Nie — tutaj jego sekretarz. Z p. Wallacem nie można teraz mówić. Rozpoczął dziś rano powieść i oświadczył, że będzie nad nią pracować bez przerwy. Nie chce zatem aby mu przeszkadzano dopóki książki nie ukończy. — Doskonale! odpowiada dobry znajomy, zaczekam przy telefonie.

Oczywiście jest to żart, ale nie mniej faktem jest, że niektórzy powieściopisarze piszą swe dzieła nadzwyczaj szybko — często w klkunastu, a nawet w kilku dniach. Z polskich powieściopisarzy najszybciej pisał Józef Ignacy Kraszewski, który pozostawił po sobie około 600 tomów powieści.

Największe miasto na świecie.

Największem miastem na świecie jest Londyn, który liczy 7,805.870 mieszkańców; drugie miejsce co do wielkości zajmuje Nowy Jork z 5,970.800; trzecie Berlin z 4,024.165 mieszkańców. Dalej następują: Chicago — 3,102.800, Paryż — 2,871.429, Osaka (Japonja) 2,114.804, Filadelfja — 2,035.900, Moskwa 2,019.453, Tokio — 1,995.576, Wiedeń — 1,865.780, Buenos Aires — 1,780.000, Petersburg — 1,616.118, Szanghai (Chiny) — 1,550.000, Hankau (Chiny) — 1,474.800, Detroit (St. Zj.) — 1,334.500, Bombay (Indje) — 1,175.914, Rio de Janeiro — 1,157.873, Kalkuta (Indje) — 1,132.264, Hamburg — 1,092.898, Kairo — 1,059.824, Glasgow (Szkocja) — 1,052.200, Warszawa — 1,028.982, ((22-gie miejsce, według stanu z dnia 1 stycznia 1928 r.), Cleveland (St. Zjednocz.) — 984.500, Sydney (Australja) — 981.400, Birmingham (Anglja) — 934.550, Budapeszt 928.996, Melbourne (Australja) — 912.130, Kanton (Chiny) — 900.000, Hangczon (Chiny) — 892.100, Medjolan — 877.424, Liverpol — 862.600, Neapol — 852.363, Saint Louis (Stany Zjedn.) — 839.200, Baltimore — 819.000, Konstantynopol — 806.860, Bruksella — 801.656, Tientsin (Chiny) — 800.000, Hangfu (Chiny) — 800.000, Madryt — 799.824, Boston — 739.100, Nagoja (Japonja) — 768.558, Rzym — 758.569, Barcelona — 752.994, Manchester — 752.000, Kopenhaga — 731.496, Amsterdam — 726.527, Kolonja — 700.222, Monachjum — 680.704, Kioto (Japonja) — 679.763.

Jad węża jako lekarstwo.

Dyrektor farmy dla hodowli jadowitych węży w Johannesburgu, w Południowej Afryce, zauważył na jednym ze swych funkcjonarjuszy — który cierpi na epileptyczne napady, że po ukąszeniu pewnego jadowitego węża, a następnie wyleczeniu pacjenta ze skutków ukąszenia, nie pojawiły się więcej owe epilepty-

czne napady. Ponieważ było kilka takich wypadków, wywnioskował dyrektor, że musi jakiś związek zachodzić między epilepsją a trucizną węża i spostrzeżeń swoich udzielił lekarzom. Ci zaczęli stosować injekcje z trucizny wężowej przy kuracji epileptycznej. Pokazało się, że jad wężowy nietylko leczy epilepsję, ale nawet nerwowo wzmacnia pacjenta.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Zonka** w P.: Rzecz p. t. „Czciciel Marji" dość dobra, ale nieco zarozwlekła; na jeden numer zadużo, a na dwa zamało. W każdym razie skorzystamy. — **Wł. Sowiźrał** w J.: Czy „Biedak przemysłowcem" jest zdarzeniem rzeczywistem, czy fantazją? — **E. Cygan** w J.: Na przyszłość prosimy pisać po jednej stronie papieru, gdyż pismo dwustronne utrudnia pracę w drukarni. — **Piotr Wenc** w S.: Dziękujemy — otrzymaliśmy. — **Marjan Skora** w W.: Wierszyki b. dobre, będziemy starali się je zamieścić. — **Jaga:** Zagadki zupełnie dobre, więc je chętnie zamieścimy. — **Stanisław Pasterczyk** w P.: Wiersze dobre, kiedy jednak będą umieszczone, trudno powiedzieć. — **Franciszek Rajca** w T. i **Józef Rodak** w T.: Logogryfy dobre. — **Mila** w P.: Prenumerata zapłacona do końca marca b. r. „Za grzechy ojców" przeczytaliśmy z wielkiem zaciekawieniem. Styl ładny, treść miła, więc przeznaczamy do druku. Jak na tę, która się dopiero uczy po polsku, błędów ortograficznych bardzo mało. Niewłaściwie i to często pisze Pani zamiast „ę" — „y" n. p. zamiast „zginęli", pisze Pani „zginyli" , zamiast „zasnęło" — „zasnyło" i t. p. Ale to drobiazg, bo wielu, którzy od dziecka mówią po polsku, piszą jeszcze gorzej. — **Franciszek Pukas** w Cz.: Robienie czekolady w domu jest i trudne i kosztowne — nie opłaci się, jak to mówią, skórka za wyprawę. O figurki niech Pan napisze do Kurkiewicza Kraków Mały Rynek, lub Angrabajtisa Kraków, ul. św. Tomasza. — **M. M. Cz.** w T.: Pożyczki takie daje Bank gospodarstwa krajowego w Krakowie, ale teraz, jak nam wiadomo, nie posiada funduszów do dyspozycji. — **Jaga Kobylonka** w K.: Maciek za list dziękuje i gdy się tylko zrobi cieplej, przyjedzie. — **Franciszek Orzech** we Francji: Wierszyk zupełnie dobry. Brat Szczepan „Rolę" prenumeruje. Maryśka pisze dalej do „Roli", choć teraz jakoś mniej. — **„Czarnobrewa"** w Jaśle: „Zima" ładnie napisana — wydrukujemy. — **Józef Cyra** w P.: W nadesłanych utworach myśl ładna, ale to nie są wiersze, gdyż brak w nich rymu. Nie do druku. — **Fr. Kapela** w M.: O tę sprawę trzeba się pytać u władz wojskowych w odnośnej Komendzie Uzupełnień. — **Rudolf Ferfecki** w O.: Posłaliśmy — dziękujemy. — **Fr. Macioł** w S. B.: Numera z pierwszego kwartału może Pan nabyć. — **Jan Polok** w P.: Po głóg niech się Pan zwróci do firmy L. Freege, Kraków, Sukiennice 15-16. — **Michał Fijał** w K.: Adres zmieniliśmy i od numeru dzisiejszego przesyłamy pod adresem Pana. Poprzednie numera prosimy od poprzedniej adresatki pobrać.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Władysław Kramarski z Grębószowa 50 gr. dla Maćka na damskiego. — Jan Buchała z Tarnowa 2.50 zł. dla Kaśki na wianek.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyła Dwunastolatka z Jasła).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę domowe zdrobn.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Góra na półw. Bałkańskim.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Czechach.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie zdrobniałe
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Belgji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Góra w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa na morzu Śródz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ironiczny człowiek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka wpadająca do morza Śródz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyżyna w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kwiat.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto we Francji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Małpa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zatoka na morzu Białem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa na morzu Śródziem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto we Francji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka morza Kaspijskiego.

Litery czytane z góry na dół dadzą ważny wypadek historyczny w Polsce za króla Stanisława Augusta.

2. Szarady.

(Ułożył Antoni Frączek z P.).

Pierwsze to przyimek często używany,
Pierwsze pół czwartego pewno wszyscy [wiecie,
Że to wieszcza Polski przyjaciel kochany.
Drugie zaś i trzecie to jest miara znana,
Przy cenie rolniczych płodów umieszczana,
Całość łatwo zgadnąć, miejscowość to znana
Z trzech stron rzek wstęgami ślicznie o-[pasana.

3. Szarada geograficzna.

(Ułożył Witold Zakulski z K.).

Pierwsze i drugie to znaczy — nierzadko,
Drugie zaś liczbę dość wielką oznacza,
Trzecie i czwarte zwłaszcza gdy ci coś warte,
Niech każde zawsze czyni z was, o dzieci,
Całość to miasto, Polak je otacza
Czcią i kochaniem, i nieraz tam spieszy
Do Tej, co koi, leczy i pocieszy.

3. Szarada literacka.

(Ułożył Witold Zakulski).

Pierwsze nazwisko naszego poety,
Który opiewał ziemi swej zalety,
Drugie i trzecie, to jest w alfabecie,
Razem, o dziewczę, to twe miano [w świecie,
Piastuj je godnie, niech je nic nie splami,
Pamiętaj zawsze, że Bóg jest nad nami.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

ro	du	du	ła	ra	ma
nek	ła	log	gi	we	gi
ro	e	nek	la	ta	ta
ka	ar	bu	na	na	ka
pli	da	ar	ma	pa	haj
du	ka	du	ron	ka	ma

Poprzestawiać sylaby, aby w każdym kwadracie otrzymać po trzy słowa o jednakowem znaczeniu, tak w kierunku poziomym jak pionowym.

5. Układanki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Litera + sprzęt = Część.
Zaimek osob. + odmiana księżyca = Miasto.
Zajada + próżniak = Zwierz.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 9 lutego.

Znaczenie zagadek z Nru 3 „Roli": 1. Logogryf: Karpaty. 2. Szarady: I. Sacharyna. II. Piramidy. III. Jaworów. IV. Napoleon. V. Kwadrat magiczny: lawina, wichura, narada, makata, katary, taryfa, salina, lirogon, nagonka, dekada, kapela, daleko.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Wł. Sowiźrał z J., „Dwunastolatka z Jasła", Jan Gara z W., Tadeusz Kwerka z W., Franciszek Śmigielski z P., Zygfryd Setkowicz z T., Jan Smaga z L., Wincenty Flis z L., I. Zajączkowski z S., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Ks. M. Suchodolski z T. i Franciszek Kulak z O.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Smaga z L. i Tadeusz Kwerka z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Czyściec.

— Moja najdroższa, dla ciebie gotów jestem przejść przez ogień czyścowy.

— Doskonale, jakże mi tego dowiedziesz?

— Zostań moją żoną!



„Fanny“.

Pani Stanisława zauważyła, że jej mąż niejednokrotnie wymawia we śnie imię jakiejś „Fanny“; pyta go więc, cóż to za osoba, o której marzy.

— To koń, na którego stawiłem większą sumę i który ma biec na najbliższych wyścigach...

Nazajutrz wita pani Stanisława męża, wracającego z biura, temi słowy:

— Wiesz, Fredziu, przed chwilą telefonował twój koń i pytał się o ciebie.



Z humoru chińskiego.

Pewien cichy uczony, siedzący wiecznie nad księgami, miał za sąsiadów: z jednej strony kowala a z drugiej kotlarza, to też skazany był na całodzienny hałas dochodzący uszu jego z obu warsztatów.

Oświadczył wreszcie hałaśliwym sąsiadom, że wyprawi im wspaniałą ucztę, jeżeli się przeprowadzą.

Pewnego dnia zjawili się obaj u uczonego z zawiadomieniem, że życzeniu jego stanie się zadość. Uradowany tem bibljofil wyprawił bankiet obiecany, a gdy kowal i kotlarz napili się i najedli do syta, spytał ich uprzejmie:

— A gdzież zamierzacie się wyprowadzić?

— Jeden na miejsce drugiego — odparli jednocześnie.



W restauracji.

1-szy gość: — Proszę o kotlet, ale ze świeżego mięsa.

2-gi gość: — Proszę też o kotlet!

Kelner (woła głośno w stronę kuchni):

— Dwa razy kotlet, jeden z nich ze świeżego mięsa.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 stycznia b. r.

Pszenica .	45·50—46·00	Słoma długa	11·00—13·00
Żyto .	35·50—36·00	Ziemniaki stoł.	7·50— 8·00
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	31·00—32·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	49·50—50·00
Groch zwyk.	58·00—62·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Siano słodk.	25·00—26·00	Otręby pszen.	26·50—27·00
Łubin żóły	29·50—30·50	Otręby żytnie	26·00—26·50
Koniczpastew.	35·00—36·00	Mąka czerw.	31·00—32·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 25 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·60 zł.	Jałownik	od 1·13 do 1·65 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·70 zł.	Cielęta .	od 1·27 do 2·09 zł.
Krowy .	od 0·73 do 1·65 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·95 do 2·34 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 do 3.00

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.